Rok XVI. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał IV.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1910 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Sprawa Cudownego Medalika na Kongresie Maryańskim w Salzburgu.

W dniach od 18—22 lipca b. r. odbywał się w Salzburgu, w najpiękniejszem mieście z tej strony Alp, piąty z rzędu międzynarodowy Kongres Maryański. Wszystkie ludy monarchii Austryacko-Węgierskiej się zgromadziły, ościenne państwa katolickie delegacye swoje wysłały, przedstawiciele wszystkich warstw społecznych przybyli, aby zamanifestować przed światem całym swą najgłębszą cześć dla Niepokalanej.

I manifestacya ta była wspaniała. Wprawdzie pod względem okazałości nie dorównywała lwowskiemu Kongresowi Maryańskiemu, a tem mniej obchodowi Grunwaldzkiemu w Krakowie, ale niemniej była imponującą. To porównanie mimowoli nasuwało się polskim uczestnikom Kongresu, bo przecież wprost przybywaliśmy z uroczystości grunwaldzkich i pod ich silnem wrażeniem.

Ale nie o to może się rozchodzić w „Rocznikach Zgromadzenia". Na tem miejscu obchodzić może przedewszystkiem to, co dotyczy nas bezpośrednio, co jest sprawą Zgromadzenia; a tym razem sprawą Zgromadzenia była sprawa „Cudownego Medalika", nietylko z tego ogólnego względu, że Reguły nas obowiązują do szczególniejszej czci Najświętszej Panny i do rozszerzania jej, ale i z tej specyalnej misyi, mocą której i sama Matka Najświętsza i Kościół złożyli w nasze ręce losy „Cudownego Medalika".

Rzeczywiście też zainteresowanie się Kongresem właśnie z tego powodu znać było ogromne wśród naszych konfratrów prowincyi austryackiej, na której terytoryum Kongres

się odbywał. Zjechał bowiem z Gracu ks. wizytator Binner, i ks. Zdešar, z Wiednia ks. superyor Legerer, z Lublany ks. Nastran, ze Schwarzach ks. Meierhofer i Schieder, którzy wszyscy razem z trzema jeszcze miejscowymi księżmi (Weissenbacher, Koudelka, Miksch) bardzo żywy brali udział w posiedzeniach Kongresu. Z Polski, z Galicyi przybyło nas dwu Misyonarzy (ks. Szymbor i ks. Gintrowski).

Ks. Zdešar i ks. Nastran przyprowadzili z sobą bardzo liczną drużynę sodalisów i sodalisek słoweńskich. W Lublanie bowiem i w całej zresztą Krainie wśród Słoweńców znakomicie rozwijają się sodalicye, w których, gdzie to tylko jest możliwem, nasi konfratrzy prezydują i jako medal sodalicyjny wprowadzają „Cudowny Medalik".

Obaj też zabierali głos w sprawie medalika zarówno w sekcyi niemieckiej Kongresu jak i w sekcyi słoweńskiej i zdołali przeprowadzić wniosek ogłoszony na ogólnem posiedzeniu w katedrze w następującem brzmieniu:

„Kierownicy kongregacyi Maryańskich zechcą w tym kierunku działać, aby sodalisi nosili tylko ten medal Niepokalanej, który jedynie ma uznanie Stolicy Apostolskiej, mianowicie t. zw. „Cudowny Medalik".

Z Krakowa również przybyliśmy nie w innym celu na Kongres, tylko po to, by sprawę „Cudownego Medalika" popierać. Przeszedł również i polski wniosek odnośny i nazajutrz był promulgowany jako jedna z rezolucyi całego Kongresu. Z pośród czterech wniosków sekcyi polskiej jest on drugim i brzmi, jak następuje:

„Kongres Maryański uchwala uznanie i potwierdzenie rezolucyi Maryańskiego Kongresu w Lyonie odbytego, odnoszących się do „Cudownego Medalika".

Było na Kongresie, jest także i na tem miejscu potrzebne odwołanie się do uchwał Kongresu lyońskiego celem dokładnego zrozumienia treści tej rezolucyi. Pomiędzy piętnastu przez lyoński kongres Maryański ogłoszonych uchwał, piąta odnosi się do „Cudownego Medalika" i brzmi tak:

„Dekretem Kongregacyi obrzędów z 10 lipca 1894 r. zatwierdził Kościół *Officium* o „Cudownym Medaliku“. Udzielił go najpierw obu rodzinom św. Wincentego a Paulo, później również i innym kongregacyom i różnym dyecezyom. Dlaczego tak Kościół czynił, to sam wytłumaczył w jednej z lekcyi wspomnianego *Officium*; „Aby nabożeństwo do Niepokalanego Poczęcia wśród ludu chrześcijańskiego coraz bardziej wzrastało, chciała Stolica Apostolska, aby jak to już uczyniono z Różańcem św. i Szkaplerzem karmelitańskim, uroczyście również obchodzono święto na cześć tego Zjawienia Matki Boskiej i Jej „Świętego Medalika“. Stąd też w myśl słów Pisma św.: *Funiculus triplex difficile rumpitur*, i pomny na to, że to właśnie Kościół sam w powyżej cytowanym dokumencie łączy ze sobą Różaniec, Szkaplerz i „Cudowny Medalik“, Kongres uchwala następującą podwójną rezolucyę:

a) niech każdy, kapłan czy świecki, stara się o rozszerzenie „Cudownego Medalika“,

b) niechby stosownie do sprzyjających okoliczności i stosownie do życzenia Stolicy św. rozszerzało się we wszystkich dyecezyach *Officium* o „Cudownym Medaliku“.

(Cfr. Compte-rendu du Congrès Marial tenu à Lyon 1900, t. II. p. 725).

Ks. W. Szymbor.

Z podróży ks. Wizytatora do Ameryki północnej.

Misya w Amsterdamie N. Y.

W podróży mojej do Ameryki półn., którą dopiero co w celu zwiedzenia domów naszych tamże odbyłem, doznałem wiele miłych wrażeń i pociech. Ponieważ uznaję, że te pociechy nie dla mnie osobiście zgotował Bóg — ale podał mi je jako przedstawicielowi naszej prowincyi, abym je złożył we wspólnej skarbnicy, skąd mamy czerpać otuchę wśród ofiar i poświęcenia, jakiego żąda od nas P. Bóg, i ochotę do dalszej pracy, więc też wrażenia te na wspólną pociechę naszą do wiadomości nas wszystkich podać postanowiłem.

W pierwszy dzień zaraz pobytu mego w Ameryce wielce podniesiony byłem na duchu. Przybyłem do Nowego Yorku na okręcie „Ameryka“, po dziewięciodniowej podróży, dnia 23 kwietnia pod wieczór. Oczekiwał mnie w porcie ks. Waszko, aby mnie zaraz zabrać do Derby, gdzie już na dzień następny, t. j. na niedzielę zapowiedziane było uroczyste poświęcenie figur św. Wincentego i błog. Jana Gabryela, które na ładnych postumentach stanęły po obu stronach wielkiego ołtarza. O 8-ej więc wieczorem stanęliśmy w Derby, gdzie w kościele oczekiwało dość dużo ludzi do spowiedzi, nie było bowiem w domu ks. Kołodzieja, który kończył właśnie dwutygodniową misyę w Schenectady N. Y. wraz z ks. Mazurkiewiczem i ks. Trawniczkiem. — Na drugi dzień poświęcenie figur; uroczystość wielka. Przed sumą uszykowały się wystrojone zastępy dziewczątek w bieli i zgrabnie ubranych chłopczyków, pierwsze z różami białemi przed figurą św. Wincentego, drudzy z czerwonemi różami obok błog. Jana Ga-

bryela. — Kościół był szczelnie zapełniony. Po poświęceniu figur powiedziałem odpowiednią naukę, przedstawiając naszym poczciwym Polakom, ciężko tam pracującym na chleb, prawda, że obfity, ale też narażonym na pokusy zbytku i nadużycia tego obfitego chleba, że odtąd św. Wincenty będzie im ciągle przypominał od ołtarza słodkie słowa P. Jezusa: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę“, a błog. Perboyre będzie im przypominał podstawowe przykazanie życia chrześcijańskiego, które tak doskonale w swem życiu stosował: „Kto chce iść za mną, niech się zaprze sam siebie, i t. d.“. Odśpiewałem potem sumę i nie czułem żadnego zmęczenia, bo bardzo się czułem podniecony tą radością, że na samym wstępie do Ameryki mogłem nieco zrobić dla chwały naszych świętych, których nasi rodacy w Derby z uniesieniem wielkiem przyjęli za swoich Patronów. Figury, duże i ładne, sprowadzone są z Tyrolu. Św. Wincenty szczególnie ładnie wygląda w otoczeniu biednych dzieci. — Dzieci w Derby miłe na mnie zrobiły wrażenie. Chodzą do szkoły parafialnej, umieszczonej w suterenach kościoła, gdzie z wielkiem poświęceniem pracują nad niemi Siostry Nazaretanki, od roku w Derby osiadłe. Kiedy później za drugim pobytem w Derby zwiedzałem tę szkołę, odpowiadały mi dzieci pięknie ładne rzeczy, z historyi biblijnej i polskiej, deklamowały i śpiewały miło. Są tu i „Dzieci Maryi“, liczne i kochające swoje Stowarzyszenie. Nabożeństwo majowe, dni niedzielne i świąteczne były dla mnie tam zawsze przyczyną wielkiej pociechy. Wszystkie kościoły, gdzie konfratrzy pracują, zawsze pełne. Wogóle uczęszczanie do kościołów naszych Polaków w Ameryce jest budujące — ale zdaje mi się, że w większym stopniu daje się to zauważyć w parafiach naszych konfratrów. Nabożeństwo majowe w innych parafiach jest przeważnie tylko dwa razy w ciągu tygodnia, u naszych konfratrów jest codzień, a kościoły też zawsze zapełnione. O godzinie 6-ej wracają ludzie z fabryk do domów, umyją się, posilą i ubiorą, a o $7\frac{1}{2}$ już zapełniają kościoły tak mężczyźni jak i kobiety i z ca-

łego serca mówią różaniec i śpiewają litanię. Rozrzewniało mię to bardzo, gdym widział ołtarze Matki Najśw. otoczone tak gęsto naszym ludem. Zastanawiałem się też i pytałem, skąd to pochodzi, że ten lud tak się tu do kościołów garnie, i mimo, że w kraju pod tym względem narzekać na niego nie możemy, tu jednak tak uderzająco jest pod tym względem gorliwszy. Doszedłem do przekonania, że lud ten pozbawiony innych pociech, za któremi tęskni jego polska i katolicka dusza, daleko od swoich, we wielkiej części tęskniący za ziemią rodzinną i siołami, które opuścił, obcy wśród tych, co dalecy mu są obyczajami i mową, gdy się spracuje, rad spieszy do kościoła, gdzie mu tak swojsko, gdzie się wyśpiewa i wymodli tak, jak przywykł od dziecka, gdzie do tej samej Matuchny swojej tak samo zawsze z rozrzewnieniem może wołać: „Pod twoją obronę uciekamy się“. A jak ofiarny ten nasz lud dla swoich kościołów! Każdy ojciec rodziny i samoistnie zarabiający i pracujący mężczyzna płaci „podatku parafialnego“ 6 dolarów (blizko 30 K) rocznie, dziewczyna zarabiająca sama połowę tyle, nadto w niedzielę przy drzwiach kościoła płaci każdy wstępne 10 ct. (50 h) i jeszcze w czasie mszy ofiarę dobrowolną. Parafie, jak naszych konfratrów liczące od 1500—2000 dusz, mają w niedzielę (oprócz owego podatku) 120—140 D. dochodu. Oprócz tego są liczne nadzwyczajne składki, które dają hojnie tak, że parafie te mają 8—13.000 D. dochodu rocznie. Mogą więc spłacać długi, które zaciągnęli na pobudowanie kościołów, zawsze mają kredyt, utrzymują ładnie księży, służbę kościelną i same kościoły tak, że tylko najwzorowiej i najbardziej z elegancyą utrzymane kościoły u nas mogą iść w porównanie z kościołami tamtejszymi. Sami na kościoły hojnie łożą — i to także, zdaje mi się, druga przyczyna, czemu te kościoły tak kochają i tak chętnie do nich spieszą. Często zwracałem uwagę na ten ciekawy moment psychologiczny u człowieka, że czego sam pracą swoją nie zdobył i nie nabył, ale dano mu to gotowe i niejako darmo, mniej to szanuje i ceni, choćby nawet ślubem ubóstwa do tego był zobowiązany. Co zaś na-

zywa swojem, bo on to własną pracą i kosztem nabył, to mu droższe, to więcej ceni. Tego się już człowiek nie pozbędzie. To samo uderza w oczy w Ameryce u Polaków, jak wogóle u wszystkich katolików i nawet niekatolików, w stosunku do kościołów. Nie wynika z tego, co mówię, że niema między naszymi, jak między każdą pszenicą, kąkolu, który odbija swem postępowaniem od tego, com wyżej opisał. Są wyjątki, są marni przewrotowcy, co są wstydem dobrych Polaków, ale jest ich stosunkowo mało. Oto jedno wielkie źródło pociech, jakich w Ameryce doznałem: widok braci naszych zapełniających kościoły, w których tak skutecznie pracują nasi konfratrzy. Praca konfratrów jest nieraz bardzo kłopotliwa wśród ciężkich warunków, a zwłaszcza spowiedzi późnymi wieczorami i ich częste osamotnienie, ale też piękne owoce tej pracy. Ucieszyło mnie zwłaszcza to, że udało im się przyzwyczaić ludzi do częstszej spowiedzi i Komunii. Powracały mi nieraz na myśl słowa Pisma św.: *Euntes ibant et flebant mittentes semina sua... venientes autem venient cum exsultatione portantes manipulos suos.*

Drugie źródło wielkich moich pociech, to widok ich pracy misyjnej, której się przypatrzyłem zblizka, bo razem z nimi na misyi przez 2 tygodnie miałem przyjemną sposobność pracować. Była to typowa misya w tamtych warunkach, więc sądzę, że dobrze o niej napisać tu obszerniej.

W pierwszych dniach mego pobytu w Ameryce napisał do ks. Głogowskiego ks. Antoni Górski, proboszcz w Amsterdamie N. Y., prosząc o misyę dla swej parafii. Parafia to wielka licząca około 5000 dusz (do spowiedzi wielkanocnej obowiązanych 3500), a misyi nigdy nie było, więc gorliwość misyonarska mówiła, że misyi podjąć się trzeba. Ponieważ siły niektórych konfratrów były stargane, bo już kilka i to znaczniejszych odprawili misyi, a ostatnią jeszcze właśnie kończyli w Coatsville (gdzie proboszczem ks. Gwóźdź), która zaraz się zaczęła po misyi w Schenectady, więc podjąć się tej nowej misyi bali. Chętnie ofiarowałem im swą pomoc, bo rad byłem, że taka się nadarza sposobność do pracy

misyonarskiej, i stanęło na tem, że zacznie się ta misya 22 maja i potrwa do 5 czerwca. W sam raz, do tego terminu pokończyłem wizyty domów i wybraliśmy się 21 maja na tę misyę, z ks. Głogowskim i ks. Mazurkiewiczem.

Amsterdam to miasteczko bardzo przemysłowe liczące około 35,000 mieszkańców, w stanie New York na północ od Nowego Jorku o 176 mil angiel., t. j. około 282 km. położone. Położenie jego nad dużą rzeką Mohawek, poboczną wspaniałego Hudsonu, zapewnia mu warunki przemysłowego rozwoju.

Założyli je kiedyś Holendrzy, którzy w XVII. w. bardzo gorączkowo się w tych stronach osiedlali i budzili ruch przemysłowy. Stolica obecna stanu N. Yorku: Albany, jak i Schenectady i inne, im zawdzięczają swój początek. Zamieszkiwali jeszcze wówczas te prześliczne okolice, które przypominają nasze głębokie Podkarpacie, Indyanie szczepu Irokezów i Mohikanów, nad którymi gorliwie już wtedy pracowali katoliccy misyonarze, szczególniej francuscy Jezuici. Niedaleko Amsterdam w Auriesville nad pięknem jeziorem George widnieje jeszcze dzisiaj pomnik we formie kapliczki, na uczczenie pamięci jednego z tych misyonarzy O. Jogues w r. 1642 przez dzikich Irokezów okrutnie umęczonego.

Historya taka Amsterdamu i jego czarowne okolice rozniecały nasze wyobraźnie i krzepiły ducha misyonarskiego. Podróż sama z N. York do Amsterdam była jedną wielką rozkoszą ducha i wspaniałą ucztą dla naszych oczu. Jedzie się ciągle nad brzegiem wspaniałego Hudsonu, mając po drugiej stronie zaraz ściany gór. Olbrzymią tę rzekę, po której setki statków i okrętów zapuszcza się z Oceanu daleko na północ w strony dawnych Irokezów, nazywają amerykańskim Renem. Przewyższa go jednak 3—4 razy swą szerokością i daleko wyższe są jego wspaniałe górskie brzegi. Braknie im wprawdzie na ich szczytach starych zameczków, ale za to wspaniale grupują się w ich ładnych wąwozach rozliczne miasteczka.

Wspaniałą tę drogę z New Yorku odbyliśmy w 5 godzinach i o $8^1/_4$ wieczór stanęliśmy w Amsterdamie. Na dworcu przywitał nas ks. proboszcz Górski, naczelny kapelan „wojsk polskich“, którego już widziałem przed kilku dniami w Waszyngtonie podczas uroczystości odsłonięcia pomników Puławskiego i Kościuszki, jak w mundurze na koniu z szablą w ręku obok pułkownika Smoleńskiego szyki polskie formował. Wysoko pod górę wyjechaliśmy, aby się dostać do jego polskiej plebanii. Cały bowiem Amsterdam zbudowany jest na wysokich brzegach rzeki Mohawek, wzdłuż której ciągną się ładną kotliną główne ulice jego, stanowiące jakby park uroczy. Polaków największa część zamieszkuje w części miasta położonej na wspaniałem wzniesieniu, z którego roztacza się widok na całe miasto i okoliczne piękne wzgórza. Tu więc, w tej dzielnicy na brzegu wzgórza, ks. Górski przed 15-tu laty, kiedy z filii parafii Schenectady zorganizował osobną polską parafię, wystawił obszerny, murowany kościół, obok drewnianą plebanię, a po drugiej stronie przed paru laty wielką szkołę parafialną, w której 400—500 dzieci polskich pod kierunkiem S. S. Felicyanek się uczy. W parafii ma znaczną przewagę niewieścia płeć, bo fabryki tutejsze kobiet najwięcej zatrudniają. Są to fabryki bielizny, guzików, dywanów, mioteł i nieco fabryk żelaznych. Najwięcej więc zatrudnienia mają kobiety i dziewczęta. Zarobki zaś ich są po większej części bardzo ładne. Zarabiają od 9—18 dolarów tygodniowo. Kiedy w którym domu jest kilka par kobiecych rąk, niemało dolarów w sobotę do domu spływa. W jednej n. p. rodzinie 4 dziewczęta zarabiają po 15 D. tygodniowo, a więc 60 D. (blisko 300 K) co tydzień do domu przynoszą.

W okolicy jest dużo farm, t. j. gospodarstw polskich. Rodzice nieraz na farmie, a córki zarabiają dobrze w mieście. Stanowi to też wielką pokusę dla niewieściego rodu, aby się stroić, i pióra na kapeluszu dochodzące do 15 D. u nich nie nowina, a mężczyzn nęci ten obfity grosz do „salonów“ (karczmy), których tu bardzo dużo i to po amerykańsku urządzonych, gdzie przy szklance piwa na kinema-

tograf można się gapić. Zabawy, stroje zbytnie i pijatyka — to główne choroby Polaków w Amsterdamie. O jakiejś misyi nie słyszeli całkiem, a nawet sam ich pasterz nie miał o niej wyobrażenia, jak to w końcu, żegnając nas przyznał, bo nigdzie, nigdy misyi nie widzieli, oprócz niektórych przybyszów z Galicyi, którzy tam na misyach byli. W Amsterdamie zaś nigdy w żadnym kościele misyi nie było, choć katolickich parafii tu dużo, bo wspaniała parafia angielska, dalej niemiecka, włoska i nawet litewska, która niestety w tym stosunku jest do polskiej jak u nas Rusini.

Litwomaństwo w Ameryce także nie chce zostać wtyle za Ukrainą w swej rozterce z Polakami. Pasterza więc naszych braci Litwinów nie widzieliśmy, ale owieczki jego, kiedy w Amsterdam zrozumiano, co to misya, i wszyscy czuli się nią porwani, cisnęły się na misyę mimo zakazu, jaki słyszały, i późno w noc oblegały konfesyonały nasze. Ciekawi więc wszyscy w Amsterdam byli, co to są ci misyonarze i co tam będą u nich robili. Na samym więc wstępie, na zaczęcie misyi w dzień św. Trójcy, kiedy to ewangelia św. przypomina słowa P. Jezusa do Apostołów: „Idąc tedy na cały świat, nauczajcie wszystkie narody“ — wytłumaczyć im było trzeba, co my za jedni i pocośmy do nich przybyli. Kiedy się dowiedzieli, o co tu chodzi i czego od nich chcemy, wzięli się do misyi tak gorąco i tak szczerze, że serca nam rosły, łzy do oczu z radości się nam cisnęły i nie czuliśmy prawie żadnego zmęczenia, mimo, że pracy było bardzo wiele. Zaczęliśmy od mężczyzn i pierwszy tydzień był poświęcony dla nich. Ujęli nas zaraz za serce swą gorliwością i braniem sprawy na seryo; gorączka zapału jednak codzień szła wyżej, kobiety doczekać swej kolei nie mogły, a gdy wreszcie na nich przyszła, doszły w zapale aż tak daleko, że niektóre i robotę we fabrykach opuściły i już od 2 godzin naprzód spieszyły do kościoła, aby złapać miejsce, a niektóre nie odstępowały od rana do wieczora od konfesyonałów, aby się dostać do spowiedzi do misyonarza. Z rozrzewnieniem wspominałem sobie często te rzesze, co to 3 dni

trwały przy P. Jezusie, wsłuchane w Jego boską naukę, i o pokarmie zapominały. — Porządek misyi w Ameryce musi być zastosowany do warunków tamtejszych. Ponieważ wszyscy zajęci są we fabrykach od rana (godz. 7-ej) do wieczora (6-ej), niektórzy zaś znowu pracują w nocy, a pracy opuszczać nie mogą, nie chcąc stracić zupełnie chleba, więc główna praca misyjna jest wieczorem. O godz. $7^1/_2$ zaczyna się nabożeństwo wystawieniem Najśw. Sakramentu, różaniec, a potem nauka misyjna główna, po której są modlitwy wieczorne i rachunek sumienia, poczem spowiedź do $11^1/_2$ godz. w nocy. Rano o godz. 8-ej msza św. śpiewana, poczem kazanie, a o godz. 3-ej droga krzyżowa, poczem święcenie dewocyonaliów i tłumaczenie ich warunków. Od trzeciego dnia misyi począwszy jest rano o godź. 5-ej msza św. i Komunia św. dla tych, co się po południu i w wieczór dnia poprzedniego wyspowiadali. Przedtem są modlitwy ranne i nauka odpowiednia. Wieczorem, nie potrzebuję wspominać, kościół był przepełniony zawsze, już na seryi męskiej, a kiedy przyszła kolej niewiast, wtedy zdawało się, że słaby ród niewieści mury kościoła rozsadzi, wszelkie schody, ganki, kąciki i chóry przepełniały one, a jak wspomniałem, w przemyślności swojej już godzinami naprzód do kościoła spieszyły, aby się tamże docisnąć. W drugim tygodniu, w seryi niewiast, deszcze były obfite i burze, a zwyczajnie tak trwożliwe niewiasty, mimo burz i ulewy wspinały się pod uciążliwą górę do kościoła i zawsze ich było przepełnienie. O godz. 8-ej rano mogli być tylko ci, co wrócili do domu z nocnej pracy z fabryk, było więc już na seryi męskiej nieco miejsca w kościele dla kobiet, z czego one zaraz chciwie korzystały. Na drodze krzyżowej kościół był zawsze prawie pełen, a rozrzewniający był widok, gdy się przyszło do kościoła o 5-ej rano i zobaczyło się, że w kościele prawie pełno. Do Komunii św. bywało na tej mszy św. od 200 — 300, tak, że potem rozdawaliśmy Komunię św. we dwóch, aby mieli czas na mszy św. zostać i jeszcze do fabryk zdążyć. Oprócz tych, co mieli komunikować, przybywało wielu gorliwych, co nie mo-

gli dospać, aby także i z tej części misyi korzystać. Obiecywaliśmy sobie, że w ciągu dnia w przerwach między nabożeństwami i naukami misyjnemi nie będziemy mieli wiele pracy, że mianowicie na wieczór cały ciężar spowiedzi spadnie, tymczasem i we dnie nie darowali i w nocy o 11$^1/_2$ z konfesyonału puścić nie chcieli. Kiedy zwłaszcza spostrzegły poczciwe kobiety, że mężczyznom nie daliśmy rady, aby ich wyspowiadać wszystkich w ich tygodniu i musielibyśmy jeszcze niedzielę i poniedziałek z tygodnia kobiet im poświęcić, to tak się wzięły do rzeczy, że odrazu z początku swej seryi tak nas oblegały w konfesyonałach, że ani na obiad i kolacyę wydostać się nie można było, a w nocy choć widziały, że senność nas mordowała, litości nie miały nad nami żadnej. Ale ten brak litości z ich strony rozrzewniał nasze serca i cieszył nas niezmiernie. Nawet kiedyśmy się chcieli bardzo gniewać na nie, że nie dbając na swe piękne kapelusze i jedwabne nieraz suknie miejsca przy kratce nieraz szturmem sobie zdobywały i konfesyonał na misyonarza zawalić chciały — co zwłaszcza w Ameryce niewieście nie wypada — to gniewaćeśmy się nie mogli, bo to tak bardzo przypomniało tę natrętną Chananejkę, którą P. Jezus w końcu bardzo pochwalił i owych przyjaciół chorego, co to i dach zerwali, byle się z chorym do P. Jezusa dostać, a którym ewangelia całkiem za to nie przygania — Niedaleko od Amsterdam jest Saratoga, miejscowość jakby nasza Szczawnica, Krynica i Zakopane złączone razem. Rozliczne źródła przerozmaitych wód mineralnych tam wytryskają i w lecie zjeżdża się tam tysiące Amerykanów bogatych, żądnych zabawy, zdrowia i wypoczynku. Mówiliśmy sobie, jakeśmy do Amsterdam jechali, że po seryi męskiej, gdy pracy będzie mniej ze spowiedzią, zrobimy sobie tamże wycieczkę, aby tę sławną Saratogę zobaczyć, ale oczywista nie udało się to, bo mężczyźni jeszcze od konfesyonałów nie ustąpili, a niewiasty już się cisnęły. Zamiast odwiedzinami w Saratoga ucieszyliśmy się w ten dzień inną wielką pociechą, jakiejśmy doznali.

Dzień 30 maja jest w całej Ameryce t. zw. decora-

tionsday, t. j. jakoby nasz dzień Zaduszny, pojęty po protestancku. W tym dniu Amerykanie czczą pamięć poległych we walkach za wolność Ameryki. Zdobili ich groby i urządzali pochody. Z czasem rozciągnęli pamiątkę do wszystkich swoich zmarłych — i zdobią na ten dzień groby swych bliźnich we wieńce i chorągiewki, co już kilka dni naprzód przygotowują — a w sam dzień spieszą spacerem na cmentarze— oprócz publicznego uroczystego pochodu tamże. — Fabryki w ten dzień stoją; jest ogólne uroczyste święto. Polacy, którzy na wzór Amerykanów łączą się w rozmaite towarzystwa i tworzą po wszystkich parafiach liczne bardzo stowarzyszenia kościelno-patryotyczne, jak Rycerzy św. Kazimierza, św. Wojciecha, Kościuszki etc., które im zapewniają i korzyści ekonomiczne, a przy rozmaitych uroczystościach narodowych i kościelnych dają im okazyę wystąpienia paradnie jakby wojsko polskie w pięknych mundurach, korzystają z tego dnia wolnego, aby urządzać rozmaite zabawy na korzyść tych stowarzyszeń, jak pikniki etc. Rozmaite ogrody i sale są na ten dzień daleko naprzód już zamawiane, aby potem nie zostać na lodzie. Otóż „rycerstwo“ polskie w Amsterdam na ten dzień uplanowało już od dawna piknik i park kilka miesięcy naprzód, kiedy jeszcze o misyi w Amsterdam nie było słychać, zamówili. Tymczasem spadła na to misya i zapowiedzieliśmy, że to nie czas na zabawy, tylko czas pokuty. Dziewczęta, których misya właśnie się zaczęła, wzięły to na seryo do serca i mimo wielkich pokus, każda głośno zapowiedziała, że do parku nie pójdzie. Jakże więc rycerzowi polskiemu bez panny się bawić? A tymczasem park drogo zapłacony, rozmaite rzeczy zamówione — strata wielka grozi rycerstwu. Tymczasem dziewczęta na wszystkie perswazye i prośby jedną mają tylko odpowiedź: Misyonarze zakazali, więc nie pójdziemy. Rycerstwo w rozpaczy już o godzinie 5-ej rano przysyła do Misyonarzy delegacyę z prośbą, aby pozwolić dziewczętom na zabawę, i przyrzekali święcie, że o 7-ej wieczór dziewczęta z zabawy na misyę wrócą. Misyonarze twardzi odmówili, przyszła druga delegacya i znów

napróżno. Było nam to przykro, bo rycerstwo z rozpaczy, że wielkie im grożą straty, gotowe było na misyonarzy szemrać — i popsułoby się trochę piękne owoce męskiej seryi. Tymczasem P. Bóg zaradził wszystkiemu. Rano zapowiedział się prześliczny dzień, tymczasem około godziny 8-ej nadeszła ciężka burza i ulewny deszcz, który z małemi przerwami trwał przez cały dzień. Nie udało się ani święto grobów ani piknik, a za to wszystko nie miał nikt prawa na misyonarzy się gniewać. Ten dowód stałości w swych postanowieniach ze strony dziewcząt i ich pilność w misyi, jaka się przy tej sposobności ujawniła, bardzo nam było miłe. Słusznie zresztą, że nie chciały się niewiasty okazać mniej gorliwe od mężczyzn, którzy w pierwszych dniach misyi mieli także wielką pokusę, aby misyę opuścić, a skusić się nie dali. Przyjechał mianowicie do Amsterdam wielki cyrk z Indyanami, z tresowanymi końmi etc. W małych miasteczkach amerykańskich przybycie cyrku, to także wielka uroczystość w mieście. Chodzili po mieście z „paradą“, t. j. cała kalwakada cyrkowa z muzyką po ulicach miasta się prezentowała, aby wzbudzić apetyt na wieczorne przedstawienia. Byliśmy przekonani, że wieczorem na misyi wielu będzie brakowało, a tymczasem kościół był nabity jak zawsze. Wogóle nadzwyczajną gorliwością ludu, chciwością, z jaką do serca każde słowo nasze przyjmowali, widokiem ich łez i nadzwyczajnej skruchy, wynagradzał nam P. Bóg aż nazbyt obficie naszą pracę. Rozrzewniający był widok, jak niewiasty i dziewczęta w swych eleganckich strojach w deszczu i słocie, bo cały drugi tydzień był słotny, pilnie spieszyły na misyę, a wiele z nich wysoko pod górę wspinać się musiało. — W dewocyonalia zaopatrywali się wszyscy tak gorliwie, że drugi raz czemprędzej z New Yorku od Pusteta obfitą przesyłkę sprowadzić musiano. Wody św. Wincentego rozebrano parę beczek, cudownych medalików ilość nieprzeliczoną. Mężczyźni złożyli uroczyste przyrzeczenie, że się nigdy nie upiją, dziewczęta, że strzedz się będą niebezpiecznych zabaw i schadzek. Wszystko było tak rozentuzyazmowane i tak porwane do Boga, że

żadna ofiara nie była im ciężka, i jestem przekonany, że mało które ziarno naszych słów zostało na opoce lub na drodze, gdzieby uschło, albo wydziobało je ptactwo, ale wszystkie serca to role dobre, w których ten zasiew wyda owoc stokrotny. Zastaliśmy tam i opoki, ale tak dziwnie pomiękły w role dobre, że aż zrozumieć tej przemiany w żaden sposób nie mogli ci, co przedtem na te opoki patrzyli. Ucieszyło nas także, że wyspowiadali się wszyscy. Księża polscy z Albany, Schenectady, Syracuse, Utica etc. pospieszyli z pomocą — a ks. proboszcz ze swym wikarym pracowali w konfesyonale dzielnie.

Prześliczny był dzień ostatni misyi. Po sumie odprawionej przez ks. proboszcza, wspaniała procesya z Najśw. Sakramentem po ulicy, wśród której śpiewaliśmy litanię do Najśw. Panny. Wróciliśmy do kościoła do ołtarza Matki Boskiej, na którym ks. proboszcz złożył Najśw. Sakrament, a zaczęło się kazanie o oddaniu się w opiekę Najśw. Maryi Panny i akt ofiarowania. Pod koniec kazania tak ogólny i tak straszny był płacz w kościele, iż zdawało się, że nietylko niewiasty, ale i mężczyzn ogarnęły spazmy, ale to spazmy słodkie dusz rozradowanych przeświadczeniem, że pojednały się z Bogiem, a słodka i tak potężna Opiekunka z nieba płaszcz swej opieki rozwinęła, aby ich wszystkich jak dziatki ukochane przytulić do siebie. Nie było z pewnością ani jednego oka w kościele, coby łez wtedy nie wylewało. Po akcie ofiarowania cały kościół prześlicznie, ze serca i rzewnie zaśpiewał: „Pod twoją obronę“. Czuło się, że jeżeli kiedy, to wówczas ta prześliczna antyfona w niebie u stóp Królowej naszej wdzięcznem odbiła się echem i skłoniła serce Maryi ku tym, co tak ze serca opieki Jej wzywali. O godz. 4-tej było jeszcze święcenie dewocyonaliów, a o 7-ej zapowiedziane zakończenie i poświęcenie krzyża. Całe popołudnie krążyli ludzie około kościoła, a już parę godzin przed nabożeństwem zupełnie go zapełnili. Szkoda, że deszcz obfity przeszkodził procesyi z krzyżem do kościoła. Po nieszporach ślicznie na głosy odśpiewanych, (bo pielęgnują tam bardzo

śpiew kościelny) najstarsi i najgodniejsi z parafii wnieśli w procesyi, gdy kościół śpiewał: „Krzyżu święty", pięknie przystrojony krzyż i nastąpiła rzewna ceremonia poświęcenia krzyża, który teraz przy balaskach w kościele obok Najśw Serca P. Jezusa otwartemi ramionami swojemi przypomina poczciwym naszym braciom w Amsterdam to wielkie miłosierdzie boże, co ich tak bardzo skruszyło i rozrzewniło w czasie misyi. Nastąpiło ostatnie kazanie, którego zakończenie znów przygłuszył rzewny płacz, który ogarnął wszystkich. Płakali z wdzięczności dla P. Boga za tę misyę i z żalu, że się ta misya już kończy, a misyonarze mają odjeżdżać, a oni się tymczasem do nich tak przywiązali i czuli także, że pokochali ich również ci misyonarze gdzieś zdaleka przybyli, o których oni przedtem nie wiedzieli, co to takiego a teraz tak blizkimi się z nimi czuli. O! lud umie się przywiązać i wdzięcznością się zapalić, gdy się szczerze dla niego pracuje. Napłakali się jeszcze, gdy ks. Proboszcz żegnając nas, z żalem o naszym odjeździe wspominał. I ulżyło im się bardzo i w duszy dopiero uczuli całą błogość szczęścia, jakie im Bóg zgotował, gdy przez całe dwa tygodnie tłumione łzy skruchy, szczęścia, wdzięczności i miłości ku Bogu teraz tak obfitym wypłynęły im potokiem.

Jeden jeszcze miły i rzewny moment z tej misyi wypada zanotować. W niedzielę wśród misyi wypadło Boże Ciało, które tak jak i inne święta z tygodnia przeniesione jest w Ameryce na niedzielę. Po południu odbyła się więc procesya nasza po ulicach najbliższej dzielnicy miasta, w której największa część Polaków mieszka.

Szereg długi Dzieci Maryi, cały zastęp dziewcząt szkolnych w bieli, co sypały kwiaty, i tłumy pobożnego ludu naszego wśród tych zielenią zacienionych ulic miasta, co tak serdecznie otaczały P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, robiły wspaniałe wrażenie. Pogoda była prześliczna, ja prawie upadałem w ciężkiej kapie pod ciężarem monstrancyi, a jednak wdzięczny byłem bardzo Bogu, że dał mi tę wielką pociechę prowadzić naszą procesyę Bożego Ciała po ulicach amery-

kańskiego miasta. Na tę pociechę, aby wychodzić na ulice z procesyą mogą sobie nasi w Ameryce pozwolić rzadko i to tam, gdzie są w dzielnicy, w której się mogą spodziewać, że P. Jezus nie dozna zniewagi.

Ta procesya na pograniczu dwóch seryi naszej misyi to także łaska Boża, za którą byliśmy wdzięczni P. Bogu. Wogóle wiele łask przez te dwa tygodnie dawał nam Bóg. Przywiązaliśmy się też bardzo do tego pola pracy naszej i gdy w półtorej godziny po zakończeniu misyi o godz. 11 w nocy pociąg pospieszny unosił nas z Amsterdam do Nyagara-Falls, trudno nam było zmrużyć oczy, bo wezbrane serce nie chciało się uspokoić, a nieustannie przychodziło nam na myśl: piękne jest powołanie misyonarza, w którem za każdy trud Bóg tak obficie pociechą płaci tu, a jeszcze stokroć więcej każe się spodziewać w przyszłości.

Na okręcie „New Amsterdam“, dnia 20 czerwca 1910.

Ks. K. Słomiński.

Wycieczka do S. Paulo.

Ks. Mięsopust, na prośbę ks. Biskupa z S. Paulo, podążył do tego stanu brazylijskiego, by nieść pomoc duchowną Polakom osiadłym na kolonii Pariquéra-assù. Podajemy tutaj sprawozdanie jego z tej podróży.

S. Paulo, dnia 10 lipca 1910.

Celem mojej podróży jest wizytacya kolonii polskiej, leżącej gdzieś daleko w zakątku stanu S. Paulo między Paranaguą a Santos. Najodpowiedniej byłoby jechać z Kurytyby do Paranaguy, a stamtąd statkiem do Iguape, skąd podobno tylko cztery mile do Pariquéra-assù, właśnie tam, dokąd podążam. Ale naszego biskupa nie można było spotkać, a od jego zastępców nie można było zasięgnąć informacyi, gdyż nikt na pewno nie wiedział, gdzie miejscowość ta leży. Nasi zaś Brazylianie, z których niektórzy bardzo dokładnie Saô Paulo znają, wskazywali mi tę kolonię gdzieś pod Matto Grosso. Ostatecznie dla mnie niema wielkiej różnicy, czy pod Santos jadę koleją, bo i tak do Kurytyby mam trzy dni drogi, a stamtąd jeszcze najmniej dwa dni na miejsce, nie licząc w to czasu, którybym musiał stracić na czekanie na statek; nadto wypadało mnie, czy każdemu innemu, który tu będzie dojeżdżał, abyśmy pierwszy raz przedstawili się miejscowemu biskupowi i postarali się o potrzebne facultates.

Nie wyjeżdżałem daleko, choć prawdę mówię, już jestem dziś siódmy dzień poza domem, a na miejscu może dopiero będę w sam dzień św. Wincentego, bo statek mój odchodzi dopiero 17 lipca; do Iguape przybędę 18, tak iż przynajmniej nie będę pozbawiony mszy św. w dzień świętego na-

szego Ojca; jednak pierwszy to podobny wyjazd, poza granice Parany.

Na drugi dzień miałem znaleźć się w Bojtuwie. Na nieszczęśliwy pociąg trafiłem, bo ciągle musiałem na noc przerywać podróż, choć dwa razy w tygodniu wyjeżdża pociąg do Saô Paulo. Tu osłodziły mi chwile samotności ananasy. Spostrzegłszy mój hotel, na razie się przeraziłem. Pokój z dwoma łóżkami, z czarnym stołem, bez żadnego okna. Jak ja tu noc przepędzę, pytam się, a drzwi wychodzą na ulicę. Otworzyć ich nie można, bo wszyscy gapić się na mnie będą. Poszedłem na peron odmawiać brewiarz. Wracam, jakieś okienko zabite spostrzegam w drzwiach. Przynajmniej coś widać w pokoju. Idę do szkoły szukać na mapie mojej kolonii. Znajduję rzekę tej nazwy, poboczną rzeki Ribeira, którą, zdaje się, też płynąć będę musiał. Nie tracę jednak otuchy, znów wracam i spostrzegam w suficie wentylator, a raczej otwór drutem zakratowany. Może jakoś nie będzie najgorzej. Już gorsze rzeczy widziałem i doświadczyłem ich. Tu przynajmniej ananasy. Właściwie jest to odrębny gatunek nieznany w Europie, tak zwany bakaszi. Rośnie najzupełniej tak, jak ananas, owoce jednak są o wiele większe, w właściwej jego porze, w styczniu, lutym i marcu bywają 25, 30 cm. długie, nie są jednak tak słodkie, jak właściwe ananasy, są nieco kwaskowate, ale może właśnie dlatego o wiele lepsze. I u nas w Prudentopolis udają się na jednej linii, ale nasze są wprost kwaśne. Mimochodem wspomnę o pewnym gatunku, który tylko we wszystkich lasach parańskich rośnie. Zysk daje uprawa ananasów niemały. Pojedyńczo sprzedają go po 200, trzy za 500 rejsów, a setka będzie kosztowała 7, 8, 10 milrejsów. Pewien brazylianin ma tu plantacyę złożoną z 200 tysięcy sztuk.

Niedaleko od granicy parańskiej od Itapetiningi spostrzega się całkiem inne życie. Już sam dworzec miasteczka pogranicznego, należącego już do S. Paulo, zdradza swą powierzchownością, że jesteśmy w innym stanie. Początek jednak Saô Paulo od strony Parany nie wskazuje lepszego

dobrobytu. Ten sam step, ta sama dzikość, wszystko się jednak, jakby różdżką czarodziejską, zmieni, gdy stanie się w Itapetinindze. Widać pola doświadczalne, gdzie rząd próbuje uprawy pszenicy, tu i ówdzie widać bawełnę, sadzą jednak mniejszy gatunek, bawełnę drzewiastą chyba spotkać można tylko w ogrodach, zwaną po brazylijsku panera, a dającą bez porównania większe kłęby bawełny; tam znowu trzcinę cukrową, a im więcej ku Bojtuwie się zbliżamy, widać plantacye kawy. Ma Parana swoją herwę, ale niczem jest ona wobec kawy, najcenniejszego produktu brazylijskiego. Rokrocznie sprzedaje Brazylia za 500, 600 milionów marek kawy. Dostarczają jej także inne stany, po części Parana, Kataryna, ale większą częścią idzie na targi europejskie kawa tutejsza. To też dumni Pauliści o sobie mówią, że ich stan jest pierwszym w Brazylii. Ale już nie płaci tak kawa, jak 10, 15 lat wstecz. Magnat tutejszy z Piracicaba miał 10 lat temu czystego rocznego zysku z kawy tysiąc kontów, czyli milion milrejsów, bo dawniej aroba, czyli 15 kilo, kosztowała 22, 24 milrejsy, dzisiaj 4, 5. Bądź co bądź, daje i dzisiaj nadzwyczajny zysk.

Pięknie wygląda plantacya kawy. Ziemię wybierają pod nią najlepszą. Zauważyłem dziwną analogię tu i u nas w Paranie, jak oceniają ziemię. U nas często można słyszeć, ta ziemia dobra pod ziemniaki, żyto, ajpy, ale kukurydzy nie da. Tu mówią, przynajmniej w strefach, gdzie rośnie kawa: uda się tu kukurydza, ale kawa nie. Niektórzy jednak zbyt wykorzystują ziemię, ale mało jest takich. Plantacya kawy stanowi poprostu uroczy las. Gdyby nie było tu plantacyi kawy, byłoby w S. Paulo bardzo smutno. Lasy już są bardzo wykarczowane. Niema naszych okazałych, majestatycznych araukaryi; jadąc koleją, spotyka się lasy, ale bardzo małe i rzadkie. Kawa dodaje mu uroku. W okolicach zwłaszcza Botucatù jedzie się nieprzerwanie najmniej trzy mile ciągle wzdłuż plantacyi kawy. Potrzebuje ona ziemi miękkiej, ale bardzo urodzajnej, najlepiej udaje się na wzgórzach. Między jednem drzewkiem a drugiem jest zawsze odstęp 15-palmowy czyli

trochę większy od dwóch metrów. Wysokość wyrosłych drzewek wynosi 3 do 4 metrów. Jedno drzewko może dać 10 kilo kawy. Obliczają, że 1000 drzewek da przeciętnie 50 arob kawy, ale na lepszej ziemi da 80 i 100 arob. Wino byłoby korzystniejsze, gdyby je można wszystko zaraz sprzedać, ale po pierwsze, nie znajdzie odrazu kupca, a powtóre tutejsze wina są kwaśne, a zagraniczne zawsze lepsze. Obecnie trafiłem w sam raz na zbiór kawy. Niektóre jeszcze gałązki obsypane od dołu do góry czerwonemi jagodami najzupełniej podobnemi do naszych wiśni, wszystkie inne czernieją się od dojrzałych ziarn skupionych po dwa, a otulonych czarną powłoką. Na ziemi znajduje się mnóstwo worków, które zaraz odsyłają do domu albo do magazynów. Przedtem jeszcze suszą ją, łuszczą i posyłają do Santos. Drzewko potrzebuje wielkiej opieki, póki młode, okrywają je, nawet tutaj, w okolicy ciepłej, później już jest wytrzymałe. Zaraz w trzecim roku zaczyna dawać owoce, a pełny już zbiór daje w 5, 6-tym. Wytrzyma na dobrej ziemi 30, 40, 50 lat. Najlepsza jest ze ziarna. Słabsza już jest sadzona z gałązek, bo wytrzyma tylko 15 lat.

Mimo, że w ojczyźnie kawy jesteśmy, nie tak łatwo jednak nam tutaj o dobrą kawę, bo najlepsza idzie za granicę.

Jeśli już Parana jest klasycznym krajem najrozmaitszych narodowości, to jeszcze bardziej Saô Paulo. Kolonizacya polska jest tu najsłabszą. Pod samem Saô Paulo jest kolonia Saô Bernardo, w dyecezyi Saô Carlos dos Pinhaes mamy Nową Odessę, gdzie ze sprzedaży samych melonów tysięcy się niektórzy dorabiają. W Botucatù, skąd właśnie wczoraj od biskupa wróciłem, do którego dyecezyi należy Pariquéra-assù, muszą także być Polacy, nie mogłem się jednak dopytać o nich, choć nasz kościelny niemiecki, który przed laty podróżował po całem Saô Paulo, twierdził, że są. Widocznie topnieją, zlewają się z Brazylianami i zaczynają mówić po portugalsku, tak, że ich trudno rozpoznać. Poznałem jednak ze słów samego biskupa, że muszą tam być, bo przyjął do przyszłego seminaryum, które buduje, polskiego

chłopca. Matka tylko prosiła, aby mu kazać czytać książki polskie, by nie zapomniał języka polskiego. W samem mieście Saô Paulo będzie nas do tysiąca przeszło, ale są niczem wobec ludności blizko 400-tysięcznej.

Duch wiary w Saô Paulo stoi znacznie wyżej, aniżeli w Paranie. Zdziwiłem się niemało, jak przystępuje do mnie dziewczynka i raz po razie częstuje mnie cukierkami, a potem jeszcze przynosi mi mandarynkę. U nas dotąd tylko słyszałem, że w mieście naszem najbardziej cywilizowanem, w stolicy kraju ksiądz łatwo usłyszy: urubu (sęp), albo trzaśnie mu pod nogami bomba, tylko nie taka na szczęście, jaką się posługują w Rosyi, albo ciągle będzie słyszał za sobą: *Nao posso supportar este latim (iń)*. Saô Paulo też nie najniewinniejsze. Parańskie urubu zastępuje tu „karéka“, ale rzadko podobno można się z tem spotkać. Księdza tu poważają. Po miastach panuje także obojętność, ale nie taka, jak w Paranie. Od jednego proboszcza słyszałem, że ma przeciętnie w miesiącu 300 Komunii św. To dużo na brazylijskie stosunki. Kościoły tutejsze, jeśli nie zawsze wspaniałe, to piękne, a przynajmniej uczciwe, nie zaś obszarpane, jak w Paranie. Saô Paulo posiada kilkanaście kościołów. Wszystkie wielkie, nawet niektóre monumentalne. Ludzie są bardzo ofiarni. Kapucyni tyrolscy, Włosi, u których właśnie nocuję, już mają prawie ukończony kościół za 269,000 milr. Dzisiaj cały kościół ich prawie przystąpił do Komunii św. Prawda, że trzeci zakon skończył właśnie rekolekcye i wszyscy przystąpili razem do Komunii św., ale ogólnie mówią, że w innych kościołach również licznie przystępują do sakramentów św. Spotkałem się też z kilku proboszczami, którzy mi mówili, że ich w tydzień kilka razy wołają do chorych. Swoją drogą i to należy wziąć pod uwagę, że tu są parafie ogromne po 20 do 30,000 dusz. W naszych stosunkach nie byłoby to jeszcze bardzo wiele, ale trzeba znowu uwzględniać tutejsze stosunki, które za skalę mierniczą przyjmują nie kilometr, lecz 3, 5, 7, 8, 10, 15, 20 mil.

Dobrobyt okazuje się, na pierwszy rzut oka, o wiele pomyślniejszy, aniżeli w Paranie. Nie chcę wszystkiego generalizować, bo właśnie kolonia, którą mam zwiedzić, ma być biedna, choć znowu jeden z tutejszych Ojców, który tę kolonię zna, wyraża się o niej bardzo dobrze. O ile osobiście słyszałem od jednego proboszcza, każdy Włoch w jego parafii ma najmniej 5, 6 tysięcy gotówki. Taksy dyecezyalne odpowiednio do tego są też bardzo wysokie.

Biskup, o którym wspominam, nazywa się Lucio Antunes dos Santos. Jest on wychowankiem naszych konfratrów z Minas. Jakiś czas był nawet profesorem u nich w Diamantynie, dla braku sił. Jest on biskupem na przyszłość najlepiej rokującej dyecezyi. Ma być bardzo godny i gorliwy. Nasby raziło trochę, żeby biskup sam się miał zajmować, jak coś w ogrodzie albo w gospodarstwie zrobić, choć znów nie ma nikogo, coby mu się zajął urządzeniem domu. Biskupstwo dopiero zostało kreowane. Od dyecezyan otrzymał w podarunku dom, w którym jednak tylko prowizorycznie chce mieszkać, bo myśli później budować pałac i katedrę. Ciągle jest w ruchu, choć temperamentu wolnego, ale nie lubi bardzo pisać. Wraz ze mną przybyło dwóch proboszczów telegraficznie zawezwanych, prowizyę dla mnie pisał jego lokaj, który zarazem jest jego sekretarzem i niejako braciszkiem, bo dzwoni o 5, aby wstać, a o $5^1/_2$ na modlitwę i głośno czyta punkta medytacyi, jak u nas. Choć był w domu, nie podpisał mi sam jurysdykcyi, ale kazał wszystko sporządzić wikaremu generalnemu. Może znów to czyni dla niego z szacunku, bo on główną był sprężyną w kreowaniu biskupstwa i w zebraniu funduszu 200.000, ulokowanego częścią w banku, częścią w posiadłościach. Jest lubiany. Znać to po ofertach na seminaryum, jakie odbiera, 200, 500, 1000, 2000 milrejsów.

W dyecezyi mającej przeszło 50 parafii, a obejmującej całe pogranicze Parany, od Iguape począwszy, przez Sorokabę, Botucatù, ku Matto Grosso, ma tylko 7 kapłanów narodowości brazylijskiej. Resztę stanowią Włosi. W samem

Botucatù ma Kapucynów, poddanych austryackich. Ponieważ księża włoscy nie bardzo dobrą mają opinię, nie podają się nigdy za Włochów, ale za Austryaków. Ma jeszcze Augustyanów hiszpańskich w kilku parafiach, n. p. w Faszynie i Iguape. Chce on także nas mieć w swojej dyecezyi.

Polacy w Iguape prosili za pośrednictwem konsula Bertoniego o księdza polskiego. Na to wytłumaczył mu się, że nie ma go, obiecał jednak starać się o niego i zwrócił się dla tego do biskupa z Kurytyby. Ponieważ w maju chciał być na kolonii, prosił, aby na ten czas Misyonarz polski przyjechał. Tymczasem ksiądz Biskup wyjechał na wizytacyę, instrukcyę bardzo niedokładną zostawił swoim zastępcom i zawiódł się. Będzie jeszcze wkrótce w Iguape, ale na kolonię już nie pojedzie. Gdy był na kolonii, obejmowali go za kolana, aby im dał księdza polskiego, mówili, my jeszcze jako tako przy Bogu zostaniemy, ale z dzieci naszych nic nie będzie. Ma to być kolonia już stara od 19 lat istniejąca i ma obejmować 2000 dusz, ale czy samych Polaków, nie wiem. Tak mówił mi ks. Biskup, a Kapucyn, o którym już raz wspomniałem, mówił mi, że składa się z 400 rodzin.

Ks. Biskup chce przyłączyć Jakupizangę mającą mieć 10.000 dusz i Kananeję, gdy odjedzie proboszcz, nie chcący tam być i wracający do Niemiec, ponieważ jest Niemcem. Tam ma być 8000 dusz. Godzi się jednak także powierzyć nam samych tylko Polaków, jeśli nas potrafią utrzymać. W pobliżu są proboszczowie brazylijscy w Iguape i w Sziriryce.

Do Saô Paulo przyjechałem wczoraj. Jechał także ze mną ks. Biskup jadący do bierzmowania do Bojtuwy słynnej z najlepszych bakaszi. Wiedziałem o tem, że ma tu zajechać, nie potrzebowałem się więc trudzić nadaremnie do Botucatù, ale już miałem bilet kupiony w Paranie.

Im bardziej się zbliża ku stolicy, plantacye znikają, krajobraz mniej więcej podobny do Parany, ale bez araukaryi, jednak zalesiony, a grunt urodzajny. Niema kawy, cukru, bawełny, ale za to są fabryki i miasta dość ludne, a częste,

bo często staje kolej. Oddalenie od Botucatù do jednej z najpiękniejszych stolic brazylijskich wynosi 48 mil, a przestrzeń tę przerzyna kolej w 8 i pół godzinach.

13 lipca 1910.

Będąc zmuszony cały tydzień czekać na statek, chciałem choć w części zapoznać się z miastem, a jeśli się uda, z Polakami, bo trudno było o nich coś się dowiedzieć. Tem, co zauważyłem i spostrzegłem, podzielę się obecnie z Księdzem Wizytatorem.

S. Paulo należy do piękniejszych miast brazylijskich. Ponieważ pieniędzy u niejednych fazendejrów i kupców nie brakuje, dokładają starań, aby miasto ozdobić pięknemi budowlami. Niema tu gmachów tak okazałych, jak w większych miastach europejskich, bo ziemi tu nie brakuje, dlatego też zazwyczaj wszystkie budowle są małe, zwłaszcza na przedmieściach, ale są opatrzone ogrodami. W dzielnicach niektórych wolno tylko stawiać domy w pewnym stylu, a miasto stara się zachęcić tych, co mają domy budować, osobną nagrodą, którą otrzyma ten, kto największy dom w ciągu roku wystawi. Blizko Kapucynów jeden ma otrzymać od miasta 10.000 milrejsów.

Saô Paulo należy też do większych miast brazylijskich, bo ma blizko 400.000 mieszkańców, ale połowę niemal stanowią Włosi. Liczni są także Niemcy, ma ich być od 5 do 6000. Że ich musi być dużo, poznać już po instytucyach niemieckich. Benedyktyni niemieccy mają gimnazyum zrównane z gimnazyum krajowem. Siostry św. Katarzyny z Prus Zachodnich mają swój własny szpital. Lekarzem w nim jest Niemiec austryacki. Chorzy dzielą się w nim na 3 klasy. W pierwszej płacą dziennie 15 m., w drugiej 10 m., w trzeciej 5 m. Istnieje nadto szkoła niemiecka prowadzona przez zakonnice. Wykładowy język w niej brazylijski, ale na niemiecki taki nacisk kładą, że nawet brazylianki dobrze w niej się wyuczą języka niemieckiego. Austryackich poddanych ma być w samem mieście do pięciu tysięcy, jednak dzielą się na

Włochów, Niemców, Chorwatów, Słowieńców i Czechów. Wszystkich austryackich poddanych w całym stanie S. Paulo ma być 20,000. Sporą jest także kolonia portugalska. Austryaccy poddani narodowości niemieckiej wydają tu swoją gazetę pod tytułem: *Deutsche Zeitung,* która wychodzi codziennie. Oprócz dziennika wychodzi w tej samej redakcyi tygodnik niemiecki. W ostatnim czasie napływają tu Japończycy. Kilka dni przedtem, nim pojechałem do księdza Biskupa do Botucatù, przeszedł na tej samej linii cały pociąg z przybyszami japońskimi. W mieście S. Paulo mają kilka sklepów. Co się tyczy Polaków, to skonstatowałem, że ich tutaj bardzo mało, a jeśli są, to tak ukryci, że ich niemal nieznać, albo posługują się językiem portugalskim i dlatego nawet nie wiedzą, że są Polakami. Na pierwszy rzut oka występują tak zwane służące. Bardzo dużo przychodzi ich z Parany. U nas płacą im najwięcej 20, 30, a już dobrym kucharkom 40 lub 50 milrejsów miesięcznie, tutaj otrzyma każda kucharka najmniej 60, a nie rzadko 70 lub 80 m. Dziwny wyrobił się tutaj zwyczaj pomiędzy Polakami, że mężczyźni zostają w domu wraz z dziećmi, a kobieta idzie do służby i zarabia na utrzymanie rodziny. Jest to objaw nadzwyczaj smutny. Jeśli pomiędzy pogańskimi ludźmi australskimi coś podobnego się dzieje, to się temu nie bardzo dziwić, ale ubolewać należy, że nasz lud tak nizko upada. Nic też dziwnego, że Polak w Saô Paulo jest w pogardzie. Gdybym od swoich ludzi tego nie słyszał, wydawałoby mi się to przesadą lub uprzedzeniem, ale nasi najzupełniej mi to potwierdzali, co mi powiedział lekarz w szpitalu Sióstr św. Katarzyny: „Tu ksiądz nie może powiedzieć, że jest Polakiem, ale że jest Polakiem katolikiem“. Nie tyle jednak Polacy sami sobie sławę popsuli, ile żydówki polskie, które tu za Polki uchodzą, a które znane są zwłaszcza w Buenos-Ayres.

Z lepszych Polaków poznałem tu p. Habasińskiego, który posiada skład przyborów elektrotechnicznych, Ulickiego znałem jeszcze z Prudentopolis. Miał on pierwotnie w Kurytybie salon golenia i strzyżenia i zatrudniał czterech czeladników.

Gdy słyszał tyle o Prudentopolis, o którem się swego czasu dużo pisało w *Gazecie rządowej*, porzucił Kurytybę i przybył do nas. Wiodło mu się jednak niedobrze i wyjechał do S. Paulo. Ma tutaj wyszynk trunków. Inny posiada fabrykę sienników. Najlepiej z pośród wszystkich ma się dyrektor fabryki tkackiej Wichan, pobierający miesięcznie 1100 m. Co się tyczy liczby Polaków, nie mogłem jej sobie ustalić. Habasiński, który powinien najlepiej stosunki znać, powiada, że ich tu niema wiele, może będzie najwyżej 50 rodzin. Ale mają tu nawet własny swój dom. Za plac zapłacili 1200 m., sam murarz wziął 5500 m., a członków jest zapisanych 70. Szkoda, że nie mogę pozostać na niedzielę, bo mają obchodzić rocznicę grunwaldzką Wtenczas najlepiej mógłbym rzecz tę poznać. Dzisiaj widziałem się z niejakim Czapskim, dawnym redaktorem *Gazety Polskiej*, od którego Bielecki redakcyę kupił. Obecnie mieszka w Rio. Gdy przebywał jakiś czas w S. Paulo przed pięciu laty i nieco Polakami się zajmował, miało ich być do 150 rodzin. Robotnicy, którzy sami się najlepiej powinni znać, opowiadali mi, że ich będzie z 500, 600 rodzin. Jakiś czas wychodziła tu nawet *Gazeta Polska* redagowana przez Stokłowskiego. Właściwie była to jednak gazeta rządowa, płatna przez stan S. Paulo. Redaktor miał podobno miesięcznie otrzymywać 200, czy 300 m. W czasie, gdy Stokłowski wyjechał z ramienia rządu do Europy celem werbowania chłopa polskiego, objął redakcyę Habasiński. W związku z tą gazetą stała Opatrzność krakowska, która w nagonce do S. Paulo szukała własnej tylko korzyści. Kolonizacya w S. Paulo miała inne znaczenie, aniżeli w Paranie. U nas każdy otrzymywał własny kawał gruntu. Stan S. Paulo też z tej zasady wychodził, że emigranta należy umieścić na jego własnej ziemi, pozornie ofiarował nawet coś więcej, aniżeli Parana, bo kolonisty rząd nie obowiązywał się sprowadzać, tylko dać mu na własność pewien kawał ziemi. Około tego emigranta uwijało się jednak mnóstwo agentów, którzy mieli go zwerbować do plantacyi kawy. Wychodził więc właściwie na robotnika, a nie na kolonistę.

Z tych to względów kolonizacya parańska była dla nas korzystniejsza, tem bardziej, że już w Paranie mamy choć małą organizacyę, kościoły, szkoły i nas sporo.

Jeśli mi trudno powiedzieć, ile nas właściwie w mieście, to jeszcze trudniej mi powiedzieć, ilu nas w całym stanie. Nie mamy tu kolonii tak wielkich i zwartych, jak w Paranie. Gdy jadąc do S. Paulo spotkałem się w sąsiedniem miasteczku, o 7 mil oddalonem od Prudentopolis, w hotelu z prokuratorem sądu Kupińskim, zdziwił się ten pan, że w Saô Paulo mają istnieć kolonie polskie Słyszał, powiada, dużo o włoskich, ale o polskich nie słyszał. Dziś mi to zrozumiałe. Są oni wszędzie, ale w małej bardzo liczbie. Nikt prawie nie usłyszy o jakiejś kolonii polskiej w Itajubà w Stanie Minas, a jednak żyje tam 20 rodzin. Kolonie polskie w tutejszym stanie istnieją, ale nieliczne, małe i nie skupione. Weźmy kolonię najbliżej S. Paulo leżącą, Saô Bernardo. Jest to niby kolonia polska, ale zamieszkała przez wszystkie narodowości Do tego trzebaby kilka dni, żeby ich wszystkich odszukać, a nie znalazłoby się podobno więcej nad 30, 40 rodzin, gdyż mieszkają na rozmaitych liniach, jak Capivari, Ponte Grande, Ponte Pequenas. Inna kolonia nazywa się „Funil“, 5 mil oddalona od S. Paulo. Jakaś jeszcze istnieje Jacaray, ale niewiem, gdzie. Nowa Odessa w Campinas, stolicy biskupa w Stanie S. P., jest głównie łotyską, wielu w niej Moskali, kilkunastu żydów, Niemców, Włochów i t. d. Nowa Europa w dyecezyi S. Carlos do Pinhas ma 42 rodziny. Wielu Polaków jest po plantacyach, albo po lasach, w tak zwanych sitios, pomiędzy Brazylianami i Italianami. — Znać z tego wszystkiego, że tutejsi Polacy skazani na wymarcie, a najważniejszym powodem jest to, że niema nikogo, któryby starał się ich skupić, a nadewszystko brak im kapłana polskiego. Jakiś czas bawił Jezuita O. Lasberg w S. Paulo i choć Niemiec, ale władający polskim językiem, starał się Polaków skupić i mówił do nich kazania po polsku. Kolonię Pariquéra osobiście poznam i opiszę.

Gdy się na inne narodowości patrzy, to zazdrość pewna budzi się w sercu. Znać potęgę włoską. Zakład Salezyański najzupełniej na tej samej stopie stoi, co w Europie. Patrząc na ich dzieło, człowiek mimowoli się pyta, skąd oni to wszystko mają. W domu zajmują się wszelkiego rodzaju rzemiosłami, a u dzikich nawracaniem pogan, a tak skutecznem, że im rząd zrazu dawał 30.000 m., a teraz im wyznaczył 100.000 milrejsów.

Na pozór małe znaczenie mają Kapucyni. Mieli nieprzyjaciół. Przed laty sprowadził ich pewien Biskup i zapisał 400.000 m. na seminaryum dyecezyalne, pod warunkiem, że zawsze oni będą uczyć. Potrafiono ich usunąć. Bez dachu, zamieszkali w domu tercyarzy. Stamtąd usunęli ich Franciszkanie niemieccy. Zbierają składki, budują dom, kościół i gromadzą około siebie lud. Cicho, ale spokojnie pracują nad Włochami i drukują im w własnym domu gazetę *La Squilla.*

Niemcy mają Benedyktynów, niedaleko Redemptorystów. Są i Franciszkanie, ale o nich mówią, że ich lada dzień rząd policyą z zajmowanego zakątka usunie, bo nie mieszkają w dawnym domu franciszkańskim, gdyż obrócony został na fakultet prawa. W ich własnym kościele nie wolno im dzwonić.

Zakonnice niemieckie mają potężny szpital. Belgijskie Siostry św. Wincentego, dziesięć lat temu założone przez pewną panią belgijską, doznają w kraju wszelkiej opieki rządu. W 60 domach ich wychowuje się 25.000 dzieci na koszt rządu, za granicą nawet domy własne posiadają, a w S. Paulo mają powierzony sobie szpital okulistyczny. My sami na siebie zdani, zostajemy bez środków, ale tem chwalebniejsza nasza praca, jeśli coś zdziałamy.

Praca naszych Misyonarzy nad polskimi robotnikami w północnej Francyi i w Belgii.

List ks. Bieniasza z Antwerpii, dnia 14 sierpnia b. r.

Już trzeci mija miesiąc, odkąd obracam się wśród Belgów i Francuzów, niosąc pomoc rozprószonym tutaj naszym rodakom. Przeszłego roku, zawezwany tu dotąd, obracałem się przedewszystkiem we wschodniej Francyi, bo spieszyłem z pomocą robotnikom sezonowym, w tych stronach Francyi przebywającym. Wróciwszy do domu, myślałem sobie, że to moja pierwsza i ostatnia wycieczka, podjęta w tym celu do Francyi, bo wieśniak nasz zbyt konserwatywny, nie łatwo nagnie się do wymogów postępowego rolnictwa, a zatem nie potrzebny we Francyi. I nie pomyliłem się, zdaje się, bo eksperyment z naszym robotnikiem we Francyi okazuje się nieproduktywny i prawdopodobnie niebawem zniknie. Francya jednak kurcząc się coraz bardziej w swej ludności, potrzebuje obcych rąk i do innych gałęzi swego przemysłu, zwłaszcza węglowego i metalurgicznego. I w zeszłym roku zaczęła się oglądać za robotnikiem polskim. Nasz robotnik fabryczny, wyszkolony w fabrykach pruskich i amerykańskich, nie wiele ustępuje fachowcowi francuskiemu. Ten eksperyment, zdaje się, lepiej się uda, niż poprzedni. Sprowadzono naszych najpierw do kopalni węgla w departamentach Nord i Pas-de-Calais, w liczbie kilkudziesięciu robotników, przeważnie Poznańczyków, zajętych dotychczas w kopalniach we Westfalii.

Pośredniczył w tem p. Skrochowski, sekretarz księcia Witolda Czartoryskiego. Człowiek ten, młody a rzutki, zabrał

się do dzieła z całą energią i nie szczędzi ni trudów ni starań, aby jak najwięcej wyrwać uciemiężonego ludu naszego z Prus, a przesiedlić do Francyi, gdzie i lepiej się z nim obchodzą i lepiej wynagradzają pracę. To idea tego młodego człowieka i dlatego też nic dziwnego, że zbyt wiele go to kosztuje; dałby tylko Bóg, aby się temi trudnościami i niewdzięcznością nie złamał i nie zaprzestał swej, bądź co bądź, pożytecznej i kiedyś może w błogie skutki bogatej działalności. Do tych to robotników, na prośbę p. Skrochowskiego przybyłem. Wyjechałem z Krakowa 11 czerwca i w towarzystwie jego podążyłem wprost do Francyi.

Przybyliśmy najpierw do Arenberg. Kopalnia ta należy do gwarectwa Anzin, najbogatszego we Francyi. Tu największe rokowano nadzieje dla naszych, tymczasem nasi strasznie zawiedli i kopalnie i pośrednika — i dobrze podłamali opinię naszego robotnika we Francyi. Zastałem tu podówczas około 60 osób z rodzinami. Była to niedziela, myślałem zatem, że wszystkich zastanę zgromadzonych w kościele, bo przecież dokładnie ich uprzedzono o mojem przybyciu. Tymczasem pomimo nawoływania mego, pomimo, że p. Skrochowski obiegł wszystkie ich mieszkania, zgromadziło się tylko zaledwie kilku. Po mszy św. nie mając mówić do kogo kazania, zapowiedziałem swój udział na ich zebraniu popołudniowem i zachęciłem, by skorzystali i pospieszyli do Sakramentów św. Na zgromadzeniu zamiast ja do nich, oni przemówili do mnie, wśród wrzawy, krzyku i trywialnych wyrażeń. Między innemi dowiedziałem się tu, „że im trzeba pieniędzy, nie księdza“, p. zaś Skrochowskiemu dostało się coś od zdrajcy i oszusta. Pomyślałem sobie: *bonum mihi, quia humiliasti me.*

Powodem tego niezadowolenia była wczorajsza wypłata. A więc zostali skrzywdzeni! pomyśli sobie każdy. Ale gdzież tam! Dziwny to nasz naród na obczyźnie. We Westfalii zarabiali 3 do 4 marek dziennie, płacili przeciętnie 100 marek rocznie podatku, mieszkanie zaś pochłaniało im miesięcznie od 20—25 marek. Wiem to z ich własnych ust. Tu tymcza-

sem zarabiają od 5—8 fr. dziennie. Wolni są od podatku, za mieszkanie zaś wcale porządne, bo składające się ze 4 pokojów i kuchni, płacą tylko 6 fr. miesięcznie. Nadto darmo otrzymują węgiel, a każda rodzina ma jeszcze obok budynku swego kawałek ogrodu. Skąd więc to niezadowolenie? Robotnik nasz, zarozumiały do najwyższego stopnia, nie mógł tego zrozumieć, że towarzysz jego francuski, pracujący w kopalni od szeregu lat, może więcej zarobić niż on lub lepszą mieć pracę. Niebaczni na to, że kopalnia ich sprowadziła własnym kosztem, urządziła im mieszkania, dała im najprzód jakiś zadatek, zerwali samowolnie kontrakt, i większość poszła szukać gdzieindziej szczęścia. Nic więc dziwnego, że kopalnia narażona na ogromne straty, odezwała się, że ma dosyć naszych Polaków i słyszeć już o nich nie chce.

Nic nie wskórawszy z nimi, po wyspowiadaniu zaledwo 2 czy 3 osób, udałem się do następnej kolonii Lallaing, leżącej obok Douai. Miejscowość ta należy do gwarectwa Aniche. Proboszcz tutejszy typ najzacniejszego kapłana, przyjął nas prawdziwie po przyjacielsku. Pomimo, że był to dzień roboczy, zgromadziła się cała nasza Polonia w liczbie przeszło 200 osób. Po odprawieniu krótkiego błogosławieństwa, wstąpiłem na ambonę i przemówiłem do nich na temat słów Ewangelii niedzielnej: „Żal mi tego ludu“. Kościół cały zadrgał jednym płaczem; płakałem ja, szlochał lud, a i Francuzi ocierali łzy. Po kazaniu wyspowiadałem kilku, bo większość odsunęła się od Sakramentów. Smutny to objaw robotnika naszego na obczyźnie, że odwyka od Boga, od Kościoła, od Sakramentów św. To wpływ zdaje się, socyalizmu niemieckiego i protestanckiego indyferentyzmu, wśród którego westfalski nasz robotnik był zmuszony pracować.

Byłem w poprzedniej i w tej kolonii poraz drugi jeszcze, ale do spowiedzi św. nie wielu dało się namówić. Resztę nam opisze ks. Witaszek, bo on robił tu ekskursye, gdy ja byłem czem innem zajęty, lepiej zatem poznał ten lud zbłąkany.

Stąd zawsze w towarzystwie p. Skrochowskiego, udałem się do Liévin. Ale przyjechawszy na miejsce, nie zastaliśmy nikogo, gdyż z powodu wyjazdu ks. proboszcza nasz list i telegram leżały spokojnie na plebanii. Miejscowość ta należy już do dyecezyi Arras. Tam więc udałem się koleją po jurysdykcyę, a p. Skrochowski tymczasem obiegał kolonie robotników i szukał naszych. Nie zastawszy ks. Biskupa, obszedłem kanoników, aż trafiłem na oficyała i to jeszcze przy obiedzie. Niezadowolony był prawdopodobnie staruszek z mej wizyty, w porę tak nieodpowiednią, ale pokorniutko się przedstawiwszy, a pokorniej jeszcze przeprosiwszy, uzyskałem po długich badaniach potrzebne facultates i po trzechgodzinnej jeździe stanąłem z powrotem w Liévin. Ale zastałem tylko jedną rodzinę polską i kilku Słoweńców mówiących dobrze po niemiecku, lecz z tych jeszcze, skoro zobaczyli, że zabieram się do spowiadania kilku wymknęło się i uciekło. Zaprawdę, wiele kosztuje, pomyślałem sobie, na widok tego, pozyskanie duszy ludzkiej, dla której podejmuje się tyle kłopotów, tyle łoży się starań! Dzionek był prześliczny, po spowiedzi wybraliśmy się zatem na przechadzkę w śliczną okolicę miasteczka. Towarzyszył nam p. Skrzyński, ojciec jedynej tutaj rodziny polskiej i opowiadał nam o swoich podróżach i przygodach. Człowiek ten bardzo inteligentny, choć prosty górnik, był już w Syberyi, Japonii i nawet, zdaje się, w Chinach Przyjemnie byłoby nam gawędzić w późną noc, ale spieszyłem na kolej, aby w nocy stanąć w Boulogne-sur-mer, dokąd miał nadjechać, w powrocie z Ameryki, nasz Przewielebny ks. Wizytator. Przed samą północą stanęliśmy na miejscu, przyjęci na dworcu przez p. Nachbaura inżyniera wojskowego wraz z jego kolegą po fachu. Poznałem jego brata w Lallaing, w osobie dyrektora kopalni, który jako prawdziwy przyjaciel naszych Polaków nie zraża się wybrykami ich i rzetelne świadczy im dobrodziejstwa. Poczciwy ten człowiek, uprzedził swego brata w Boulogne o naszym przyjeździe. W całem tem towarzystwie przepędziłem noc nad brzegiem morza. Śliczna to była noc. Stojąc

na ostatnim końcu ławicy, sztucznie rzuconej daleko w morze, zdawało się, że wiszę w przestworzu, ryk tylko zdala o skały rozbijających się bałwanów przypływającego morza przypominał, że to woda pod memi nogami. Po godzinie drugiej w nocy odgłos syreny zwiastował nam zbliżenie się Amsterdamu, na któryśmy właśnie czekali. Siedliśmy na łódź parową i podążyli na pokład Amsterdamu, który zdala od portu na morzu się zatrzymał. Niemałe musiało być zdziwienie ks. Wizytatora, gdy rano o godzinie 5-ej wychodząc z kajuty, zobaczył mnie przed sobą. Stąd już w towarzystwie Przewielebnego ks. Wizytatora, podążyliśmy do najliczniejszej naszej kolonii Barlin, aby trochę popracować nad naszymi ziomkami. Nazajutrz musiał pospieszyć ks. Wizytator do Paryża, a ja zostałem tu na całe 4 dni. Niewiele zdziałałem, bo tylko dzieci, i to jeszcze niemieckie, wyspowiadałem i poobchodziłem mieszkania naszych. Niewiele zdziałałem, ale i nie smuciłem się bardzo z tego, bo wiedziałem już, że ks. Wizytator przyśle do tych nieszczęśliwców podczas wakacyi konfratra, który te lody indyferentyzmu z pewnością złamie. Boje te opowie nam ks. Truszkowski, który właśnie tam wśród tych biedaków spędził swoje wakacye.

Poobjeżdżawszy tak, w pierwszych dwóch tygodniach, kolonie robotnicze polskie we Francyi, osiadłem nareszcie w Antwerpii, aby tu przyjrzeć się wychodźcom naszym i coś dobrego dla nich zdziałać. O ile praca nad robotnikiem naszym fabrycznym mnóstwo kryje kolców dla Misyonarza, raniąc go nieraz do żywego, to praca nad tymi biedakami, którzy dopiero co kraj opuścili, by za morzem szukać szczęścia, wiele mieści w sobie pociechy. Bo lud ten stęskniony za strzechą rodzinną, którą niedawno temu poraz pierwszy opuścił, dziwnie czułym jest na głos kapłana - rodaka i prostem przyjmuje sercem tchnienia łaski Bożej. Prawda, że i tu było mnóstwo kłopotów, ale to kłopoty innej natury. Pierwszy był z mieszkaniem. Idąc za poradą jednego z tutejszych księży, poprosiłem o mieszkanie w zakładzie św. Józefa. Otrzymałem. Pokój ciemny, brudny, wprost zapowietrzony. Mniejsza

o wszystko, myślę sobie, przecież nie dla wygód tu przybyłem. Za dwa dni tymczasem dowiaduję się, że mieszkam w zakładzie poprawczym dla księży. Prawda, komuż poprawa niepotrzebna, myślę sobie, przyda się i mnie, ale pomimo przekonania o niezbędności poprawy, pożegnałem mego św. Józefa i przeniósłem się do hotelu, zanim nie znalazłem odpowiedniej dla siebie pensyi. Cóż może być bardziej nieprzyjemnego nad dłuższy pobyt w hotelu, w pokoju szczupłym, który służył już dla tysiąca odpowiednich i mniej odpowiednich gości. Dla tego też w wolnych od zajęć chwilach, uciekałem z mieszkania i błąkałem się po mieście, oglądając jego zabytki i ciekawości. Antwerpia, to miasto znaczne, bo z przedmieściami liczy z górą pół miliona mieszkańców. Dzięki położeniu swemu niedaleko morza, nad spławną Skaldą, dostępną nawet dla największych statków transatlantyckich, zdobywa sobie Antwerpia w rzędzie portów pierwszorzędne stanowisko.

Wszystkie prawie towarzystwa okrętowe świata mają tu swoje filie i dzięki temu można tu codziennie widzieć około 200 okrętów przybywających ze wszystkich stron świata. Nic dziwnego, że w Antwerpii ogromne przesuwają się bogactwa. Można zatem zrozumieć żal króla Wilhelma I. holenderskiego za tym portem i jego usiłowania odzyskania bodaj tego miasta, w r. 1831, po oderwaniu się Belgii rok przedtem z pod jego berła.

Przez ten port przejeżdża rok rocznie około 70,000 naszego ludu do Ameryki, przeważnie z Królestwa. Patrząc na te tłumy, chodzące po kościołach, obdarte, brudne, nieraz i zapłakane, serce się kraje. Każdy tu znajdzie opiekę, nie zabraknie jej nawet murzynowi i mongołowi, bo ma konsula swego, który go krzywdzić nie pozwoli. Polak tylko biedny jest wyjęty z pod prawa, bo ani austryacki, ani rosyjski, a tem mniej jeszcze pruski konsul nim się nie zaopiekuje. Każdy naród ma tu swą kapliczkę, nawet taki mały jak norweski, tłumy tylko polskie nie mają kąta, w którymby spokojnie Bogu swemu pomodlić się mogły. Brak kaplicy

najbardziej daje się tu odczuwać i krępuje całą działalność Misyonarza. Od szeregu lat dobijali się już poprzednicy moi o jaką kapliczkę, ale napróżno. Zasługują tu na chwalebną wzmiankę wspomniany już p. Skrochowski i pewien młody urzędnik p. Garczyński. Oni to po długich zabiegach wystarali się o kącik w kościele św. Pawła. Zależało to jeszcze od decyzyi komitetu kościelnego. Na tą sesyę udaliśmy się w trójkę i uzyskali wstęp do kościoła rano od 10 do 12, a po południu od 2 do 4.

Zacząłem więc obchodzić hotele, gdzie przebywają nasi biedacy, i gromadzić ich w kościele. Trzeba było każdego tygodnia obchodzić te hotele, bo każdego tygodnia nowi napływali. Głosiłem kazania do nich dwa razy w tygodniu: we wtorek dla wyjeżdżających do Kanady, a w piątek dla jadących do Stanów Zjednoczonych. Codziennie spowiadałem.

Biedny ten nasz lud, biedny fizycznie, ale biedniejszy jeszcze duchowo, a bieda ta granicząca z nędzą, dziwnie drastycznie odbija się na tle tutejszego bogactwa i starej kultury. Nieraz wstydem trzeba mi było zapłonąć, gdy się z zapytaniem i wyrzutem spotykałem, czemu ten lud nasz taki zaniedbany, dlaczego społeczeństwo nasze nie troszczy się oń, jak gdzieindziej. A nie było na to odpowiedzi, bo na każdym niemal kroku ma się namacalne dowody ciemnoty naszych wychodźców. Na pytania moje, czy jadą do Ameryki, zaprzeczają, twierdząc, że jadą do Kanady, albo też wymieniają ostateczny cel swojej podróży, nie wiedząc nawet, że to osada lub miasto leżące w Ameryce. Nierzadko nawet spotkać i takich, którzy zgoła nie wiedzą, dokąd jadą i po co. Kto za to odpowie, za tą ciemnotę i biedę ludu naszego. Nieraz sobie stawiam to pytanie, przecież ten lud nie rządził sobą ani rządzi, ale inni mu przewodniczą, a gdzież rezultaty tych rządów, tej supremacyi? Jakżeż ten naród ma kochać Ojczyznę, o której nic zgoła nie wie, a jeżeli coś wie, to ją identyfikuje z tymi, którzy nim rządzą, częstokroć dla własnej korzyści tylko. Dla tego też nic dziwnego, że

Królestwo zaczyna się wyludniać i zaczyna w niem brakować rąk do uprawy własnych łanów.

W Galicyi, dzięki oświacie trochę większej, lud ma też większe poczucie narodowe i wraca przeważnie po kilku latach do domu. Natomiast wychodźców z Królestwa wraca zaledwo 17%.

W kazaniach moich do nich miewanych uderzałem na to, by nie zapominali o swej Ojczyźnie, ale uzbierawszy sobie trochę grosza, wracali po latach, bo, gdy po nas powstaną luki, zapełnią je niebawem wrogi nasze, a ziemia krwią naszą zroszona i potem polskim ochrzczona, dostanie się do ich rąk. Lud jednak nie bardzo zdaje się pojmować te słowa. Biedny, bo ta ziemia za mało jeszcze uprzyjemniła mu życia, a zbyt wiele go już kosztowała.

Dużoby można zrobić bodaj dla wychodźców, gdyby była osobna kaplica. Mając cały tydzień lud pod ręką, możnaby wtedy odprawiać ustawicznie rekolekcye ludowe i oświecać równocześnie tych biedaków. W ten sposób, możnaby choć w części powetować zaniedbanie ich w kraju. Biedacy ci najmniejs..ego nie mają wyobrażenia o celu swej ogromnej podróży. Jedna myśl nimi tylko powoduje, by się wzbogacić, zebrać trochę dolarów. Cel zaś kulturalny dla nich nie istnieje. Dlatego, kiedy wracając z Ameryki zrzucą hałat amerykański a przywdzieją napowrót swą biedną siermięgę, zamieniają się na tych samych Bartków i Kaśki, jakimi byli poprzednio, ze sporszą tylko dozą zarozumiałości. Wykazać ludowi cele kulturalne ich podróży, pouczyć, jak ma korzystać z tego, co widzi, co go otacza, jak powinien sobie przyswajać dobre rzeczy, przestrzegać go przed złymi wpływami, oto tematy, któreby, między innymi, podczas takich rekolekcyi obrabiać się powinno.

Starałem się podczas mych przemów potrącać o te rzeczy, ale będąc ograniczony i czasem i innemi niesprzyjającemi okolicznościami, nie mogłem korzystnie oddziaływać na naród.

List ks. Truszkowskiego z Barlin (Pas-de-Calais), dnia 26 lipca b. r.

Mimo wszelkich usiłowań nie mogłem się pierwej dorwać pióra, gdyż od czasu przybycia na miejsce byłem jak w ciągłym kołowrocie. Zacny p. Skrochowski przybywszy tu ze mną w piątek ubiegły, dopiero dziś wrócił do Brukseli, w czasie zaś swego tu pobytu od rana do wieczora wtajemniczał mnie w tutejsze stosunki i potrzeby Polaków, wodząc mnie ze sobą od kolonii do kolonii, od domu do domu. Dziś też dopiero otrzymałem materyały pisarskie i jako tako się urządziłem. Z dotychczasowej działalności mojej tyle mi zanotować wypada:

Przyjęty jak najserdeczniej przez tutejszego księdza wikarego i rodzinę proboszcza, który wyjechał na 3 tygodnie w podróż do Oberammergau, rozpocząłem swą pracę w niedzielę. Wyznaczono mi niestety mało czasu na nabożeństwo, bo od godz. $9^1/_2$—$10^1/_2$, i to na zawsze tak będzie. W jednej więc godzinie musiałem odprawić mszę św. i powiedzieć kazanie. Ponieważ kazania za mało, więc będę na nieszporach miewał nauki dłuższe misyjne, a mam na to czasu od $3^1/_2$—8 wieczorem. W tym więc czasie odprawiwszy całe nabożeństwo trwające mniej więcej do godz. 5, będę chodził na zebrania Stowarzyszenia św. Barbary, któreśmy tej niedzieli założyli i gdzie nawet dorobiłem się jakiejś godności, mianowicie honorowego prezesa. Celem tego stowarzyszenia jest czuwać nad robotnikami polskimi wobec rozwiniętej tu agitacyi socyalistycznej. Pośród uchwał ostatniego posiedzenia stawiono wnioski o stałą posadę polskiego księdza w Barlin, w czem wszyscy obecni w liczbie około 100 bez opozycyi uznali nieodzowną konieczność.

Zaprenumerowaliśmy zaraz 2 gazety, w duchu zgoła katolickim redagowane, jak *Wiarus Polski* i *Narodowiec*. Nadto mam zamiar zaabonować im *Prawdę* krakowską i *Przewodnik Katolicki* poznański.

Otrzymaliśmy nawet bezpłatną salę na te zebrania, dzięki ks. wikaremu tutejszemu, i utrzymamy się przy niej pewno na zawsze. Strasznie ci ludzie mają w głowie pstro i trzeba dobrze mózgiem ruszać, aby im zadowalająco na wszystko odpowiedzieć, choć przyznać muszę, są bardzo dla mnie grzeczni i po mojej wstępnej przemowie na temat potrzeby kapłana katolickiego w stowarzyszeniach, powstaniem z miejsc złożyli mi podziękowanie oraz zapewnienie, że żaden do socyalistów nie przystanie. Pogadanka w takiem zebraniu trwa do godz. 7 wieczorem, poczem spokojnie rozchodzą się do domów. Obecność księdza, wedle ich zapewnień, sprowadziła nawet takich, którzy uchodzili za straconych dla Kościoła i polskości. Wszyscy się też wpisali i wstępne zapłacili. Jednem słowem to stowarzyszenie ma perspektywę rozwoju, zwłaszcza że składa się z ludzi starszych, którzy do podobnego stowarzyszenia należeli w Westfalii. Dzięki panu Skrochowskiemu, dla którego poświęcenia niema słów dosyć, doszło do skutku „Zjednoczenie zawodowe" wszystkich Polaków niesocyalistów, którego celem uprzystępnić ludziom ceny zakupna towarów. I tak n. p. mięso otrzymuję o 50 ct. taniej niż w zakupnie pojedyńczem. To samo z ziemniakami i resztą wiktuałów. Rozsadnikiem niedowiarstwa i demoralizacyi wśród robotników są Czesi, Słowacy i Niemcy austryaccy. Wszystko socyaliści skrajni, ale podobno kopalnia chce ich wszystkich oddalić, a na ich miejsce w jesieni sprowadzić około 1000 Polaków, których germanizacya w Westfalii zmusza moralnie do szukania większej swobody we Francyi, choć naszym chłopom *liberté* francuska całkiem w głowie przewraca. Jeżeli są pomiędzy nimi tutaj także przewrotni, to więcej z głupiej brawury, aniżeli z przekonania. W ostatnią niedzielę miałem ich w kościele około setki. Wytknąłem im potem na zebraniu ten brak religijności. Tłumaczyli się, że kobiety chcą koniecznie być w kościele, a oni musieli dzieci pilnować. W części może prawda, ale o ile się dowiaduję, tłumaczą sobie zaniedbanie nabożeństwa tem, że we Francyi jest wolność religii. Spo-

sobię się w następną niedzielę na potężną replikę na temat onej wolności religijnej we Francyi. Kiedy tak zastanawiam się nad tym szarym tłumem, któremu oziębła dusza katolicka i widzę go jako falę powrotną zalewającą Galicyę, to mam wrażenie, że dziesięciu takich filozofów westfalsko-francuskich nie mało spustoszenia wniosłoby w parafie galicyjskie. Są to ludzie, którzy od 25 lat Polski nie widzieli i całkiem zatracili potulność chłopa polskiego. Duch wiary jest tak słaby, że starczy kilku lat przykładu indyferentyzmu francuskiego lub socyalizmu czesko-niemieckiego, aby resztki jego rozpłynęły się w niedowiarstwie francuskiem. Pan Skrochowski zdaje sobie z tego sprawę i dlatego wrócił teraz do Brukseli, aby poczynić kroki o stałego księdza tutejszego. Łudził się nadzieją, że Zgromadzenie nie opuści tych biedaków, którzy przecież wedle jego słów warci tyle co Polacy amerykańscy, a są w położeniu nierównie gorszem — ale mu wytłómaczyłem, że o tem nie może być mowy, by Zgromadzenie się tu osiedliło, więc chce przez ks. Arcybiskupa Teodorowicza starać się o jakiegoś ks. Amirowicza, ormianina ze Lwowa.

We wtorek udzieliłem tu ślubu jednej parze, która od roku żyła ze sobą na wiarę. Druga taka para czeka na papiery jeszcze. Wszystkie dni zresztą odwiedzałem domy polskie i już prawie wszystkich znam. Poskładałem też wizyty inżynierom kopalń, ludziom bardzo dobrym, gorliwym katolikom.

Tutejsza siostra Polka [1]) jest przedmiotem uwielbienia ze strony ludu. Bez obawy wchodzi pomiędzy najgorszych socyalistów i zabiera im dzieci na katechizm. Dziś właśnie widziałem tę czeredę złożoną z 50 blizko dzieciaków, pomiędzy którymi niektóre zaledwie kilka słów po polsku umieją.

---

[1]) Kompania tamtejsza sprowadziła przed kilku laty Siostry Miłosierdzia dla pracy nad tamtejszymi robotnikami. Odwiedzają chorych, a przedtem miały szkołę. Obecnie postarano się o polską Siostrę dla Polaków.

A teraz zapyta Najczcigodniejszy ksiądz Wizytator jak mnie się tu powodzi i jak mi się podoba? — Gdybym był Czechem, tobym sobie zaśpiewał: „Kde domov muj“. Mieszkam w domu robotniczym sam jeden. Od dnia przyjazdu codzień deszcze i zimno nieznośne. Gościna u proboszcza serdeczna. Ale to wszystko bagatela wobec uczucia, że się jest Danielem w lwiej jamie. Niby serdeczni są dla mnie Polacy i ogromnie się cieszą z tego, że mię mają, ale to nie ci Polacy z Galicyi, Królestwa lub Poznania. Jest w nich coś, co odtrąca, a przynajmniej nakazuje trzymać się w wielkiej rezerwie, mimo chęci poświęcenia się dla nich całkowicie. Potrzeba będzie wiele czasu i niespożytej energii, aby się nie zniechęcić tą sztywnością i zbytnią pewnością siebie, jaka ich cechuje. Jest to bezwątpienia subjektywny mój sentyment i sąd o nich, ale myślę, że wielu, którzy się nigdy nie stykali z obcym żywiołem robotniczym, odnieśliby te same wrażenia.

List ks. Witaszka z Antwerpii, dnia 25 lipca b. r.

Odprawiwszy dwie wycieczki do kolonii polskich zdaję z nich Przewielebnemu ks. Wizytatorowi krótkie sprawozdanie. Pierwszą odprawiłem sam w Escaupont par Fresnes, 8 klm. od Vallenciennes. Już na samym początku miałem trudności z językiem francuskim, lecz jakoś dogadałem się i dopytałem. Przybywszy na miejsce nie zastałem proboszcza w domu. Lecz uprzedzony przez p. Skrochowskiego o mojem przybyciu wystarał się już o jurysdykcyę. Zastałem tylko brata proboszcza, który mnie przyjął bardzo uprzejmie wraz ze swoją żoną i matką. Przy powitaniu nic do mnie nie mówili, tylko wywijali rękami i wydawali jakieś głosy jak niemowy. Gdy jednak przemówiłem do nich po francusku, wnet im się języki rozwiązały i tłumaczyli swe postępowanie tem, że nie przypuszczali, aby Polak mógł znać język francuski. W kościele czekało troje ludzi, bo reszta była przy pracy. Odprawiłem Mszę św., wyspowiadałem tych ludzi i udzieliłem Komunii św. Po śniadaniu udałem się do mieszkań pol-

skich. Nowe to domki jednopiętrowe, murowane, bardzo wygodne. Cały dom zajmują dwie rodziny, ale tak, że się zupełnie z sobą nie stykają, bo cały dom jest przepołowiony, tak że każda familia ma 2 pokoje na piętrze, 2 na parterze, a oprócz tego jest jeszcze na parterze mniejsza ubikacya, służąca za umywalnię. Przy domku ma każda rodzina swój ogródek. Wśród tych szeregów domów, Polacy zajmują domki obok siebie położone. Rodzin polskich jest tam obecnie 4, ludzi nieżonatych 3. Było ich tam daleko więcej, lecz przed kilkunastu dniami dało się zbałamucić kilkanaście rodzin dwom robotnikom z Królestwa i wyjechało do Westfalii z powrotem.—Dziwni ci nasi robotnicy, sami nie wiedzą, czego chcą i szukają, bo tam im bardzo dobrze. Ludzie tamtejsi dla nich są bardzo życzliwi. Opowiadali sami Polacy, że gdy przyjechali do Escaupont, cała ludność wybiegła na ich powitanie, a następnie wydzierano ich sobie przez dni kilka na mieszkanie u siebie, dopóki nie mieli mieszkań urządzonych. Co niedzielę zapraszają ich Francuzi na kawę do siebie i to tak serdecznie, że co niedzielę kilka wizyt każdy Polak złożyć musi. Przynoszą im rzeczy potrzebne do przypraw i jarzyny, tak że dotąd przez kilka miesięcy jeszcze nic z jarzyn nie kupowali, gdyż chociaż coś chcieli kupić, to nie przyjęto pieniędzy. Trudniejsze jest trochę ich położenie w kopalni. Tam trudniejszą podobno zawsze dostają robotę i mniej zarobkową. Zarabiają jednak bardzo dużo.

Polacy, którzy pozostali i są zadowoleni, ubolewają tylko, że nie mają księdza polskiego, że nie słyszą nauk i brak im szkoły polskiej. Pocieszałem ich, że ich jeszcze odwiedzę, że może nawet stale zamieszka tu dwu polskich księży, którzy ich co pewien czas odwiedzać będą. Nauk wprawdzie nie słyszą, ale mogą to zastąpić czytaniem wspólnem o prawdach wiary św., na co się chętnie zgodzili i przyrzekli, że będą czytywali „Wykład Wiary“ ks. Gawrońskiego.

Obiecano im też otworzyć polską szkołę, lecz na razie dla tej szczupłej liczby niemożliwą to jest rzeczą. Niech więc własnemi siłami kształcą swe dzieci. Wskazałem im

p. Adamską, osobę inteligentną, którаby mogła podjąć się wyuczenia dzieci pisania, czytania i religii. Wszyscy zwrócili się do niej jednogłośnie z prośbą, by przyjęła propozycyę, na co się chętnie zgodziła. Potrzeba im tylko elementarzyków; lecz tych z pewnością dostarczy im p. Skrochowski. Po południu wyspowiadałem pozostałych dorosłych i dzieci i powiedziałem naukę, w której szczególnie zwróciłem uwagę na to, by śmiało i odważnie trzymali się praktyk religijnych, a szczególnie by wiernie uczęszczali do kościoła w niedzielę. Niektórzy bowiem odstraszyli się od nabożenstwa, gdyż w tych stronach nigdy robotnik francuski nie chodzi do kościoła, bo stałby się przedmiotem pośmiewiska dla drugich. Nawet w tym dniu, gdy zgromadzili się Polacy w kościele, zgraja chłopów i dziewcząt zgromadziła się przed kościołem; gwizdali, krzyczeli, bili w drzwi, a co chwila kilku wpadało do kościoła; pokazywali sobie konfesyonał, gdzie się spowiadali, śmiali się, krzyczeli i t. d.

Zachęciłem ich, by nie zważali na te pośmiewiska, lecz owszem, by dobrym przykładem świecili, a to upamięta może oziębłych Francuzów i pociągnie ich do Boga. I rzeczywiście jeden z Polaków powiedział mi po nauce, że w ostatnią niedzielę naliczył w kościele 20 Francuzów, gdy tymczasem w pierwszą niedzielę jeden tylko stał w kąciku pod chórem. Na zakończenie rozdałem im medaliki i obrazki na pamiątkę.

Drugą wycieczkę urządziliśmy razem z ks. Bieniaszem do Lallaing par Raches, 8 klm. od Douai. Jest tam rodzin polskich 81 i kilku dorosłych chłopców. Na samym wstępie opowiedział nam proboszcz tamtejszy przykre zajście między Polakami. Czterech podrostków napadło na podurzędnika przy wypłacie i pobiło go. Lecz za to spotkała ich natychmiast kara zasłużona, t. j. wydalenie. Początkowo zapanowało wielkie wzburzenie wśród Polaków, lecz wnet się uspokoili, dzięki nadzwyczajnemu taktowi i życzliwości dla Polaków p. inżyniera Nachbaura, który dla nich robi, co tylko może. Dał im tłumacza w osobie p. Schmidta, szwajcara,— przyjął delegacyę, z zażaleniami i pokazał im wszystkie księgi

rachunkowe wypłat, bo Polacy twierdzili, że nierówno wypłacają Polakom i Francuzom. Przyrzekł urządzić im kąpiele w kopalniach, których żądali, bo dotychczas służyły do tego kąpiele, które każdy ma w domu. Sprowadza im mięso po cenach wojskowych, t. j. 60 ct. za 1 kg.; przyrzekł, że nie będzie na nich wołał podniesionym głosem, choć i dotychczas nie czynił tego ze złości, tylko z przyzwyczajenia, bo był przedtem oficerem wojskowym, że nie będzie im mówił „faul", na co uskarżali się delegaci; tłumaczył się, że mówił to bez zrozumienia znaczenia tego wyrazu, gdyż nie umie po niemiecku. Rozumniejsi Polacy uspokoili się zupełnie i drugich do spokoju nawoływali. Zauważyłem, że ogólnie zapanował spokój i jest między nimi zadowolenie. Dwóch tylko znalazłem niespokojnych wichrzycieli, którzy trwają przy swym uporze.

Cała nasza wycieczka miała na celu uspokojenie umysłów, czegośmy w części, zdaje się, dokonali. Dzień u nich przepędziliśmy tak. Ja zaraz odprawiłem Mszę św., a tymczasem ks. Bieniasz poszedł na kolonię, by zwołać ich do kościoła. Jakoż stawili się wszyscy. O godz. 9 odprawił ks. Bieniasz Mszę św. i wygłosił kazanie od ołtarza, a ja grałem na organach, wtórując polskim śpiewom. Po mszy św. ks. Bieniasz wyspowiadał zgłaszających się do spowiedzi, a ja poszedłem z innymi na zebranie Stowarzyszenia św. Wojciecha, które między sobą zawiązali. Ks. proboszcz z życzliwości swej dał im na ten cel osobną salę. Zebrania ich rozpoczynają się pieśnią, potem jest odczytanie ewangelii niedzielnej, następnie omawiają sprawy bieżące. Wsunąłem im jeszcze w ten rozkład kwadrans do pół godziny czytania z ks. Gawrońskiego „Wykładu Wiary". Wśród zebrania zabrałem też głos i opowiedziałem im o obchodzie grunwaldzkim. Wyzyskałem tu kazanie ks. biskupa Bandurskiego, największy nacisk kładąc na to, żeby między nimi była zawsze jedność i miłość i chętne darowanie sobie uraz. Potem przemówił przewodniczący p. Roszak. Zdał relacyę z delegacyi u p. inżyniera Nachbaura i podał do wiadomości, że wkrótce

będą mieli szkołę polską, że p. Skrochowski przyśle im książek do biblioteki za 200 fr. Na końcu zaśpiewali „Kto się w opiekę“ i rozeszli się. Po południu zgromadzili się o godzinie pół do drugiej na błogosławieństwo, po którem miałem do nich naukę i zapowiedziałem, że za 2 tygodnie, t. j. 6 sierpnia przybędę do nich, by ich wszystkich wyspowiadać. Rozpocznę spowiedź zaraz w sobotę o godz. 2 i wygłoszę w sobotę i przez niedzielę kilka nauk. Ucieszyli się wszyscy z tej propozycyi i przyrzekli jednogłośnie, że się wszyscy wyspowiadają. Odwiedziliśmy ich następnie w ich mieszkaniach, potem odjechaliśmy do Douai fiakrem, a stąd o godz. 1 w nocy w poniedziałek powróciliśmy do Antwerpii. Dziś rozpoczął znowu ks. Bieniasz pracę koło wychodźców. Jutro ma do nas zjechać p. Skrochowski i będziemy z nim układać plan dalszych wycieczek.

9 sierpnia b. r.

Wróciłem z wycieczek po koloniach, więc kreślę króciutkie sprawozdanie, choć coś już z drogi nadmieniłem.

W Arenberg, odległem od Valenciennes 20 min. koleją, mieszka 7 rodzin polskich i 11 chłopców. Po tej kolonii spodziewał się najwięcej p. Skrochowski, a najbardziej się zawiódł. Sam dyrektor tej kopalni tak był zniechęcony do Polaków, że powiedział p. Skrochowskiemu: „Daj mi pan spokój z Polakami, wszystkich sobie zabierz“. Kilkanaście bowiem rodzin zaraz prawie z początku wyjechało i przez to kopalnię narazili na wielkie straty, bo kopalnia sprowadziła ich z Westfalii własnym kosztem. Nie wiadomo na prawdę, czego oni chcieli, bo żonaci zarabiają dziennie przeszło 6 fr., a chłopcy przeszło 5. Pozostała garstka dosyć stosunkowo zadowolona. Dwóch tylko podrostków burzy się, lecz i oni chcą opuścić kolonię, z czego bardzo się cieszą inni. Jeden z nich to królewiak, a drugi z Poznańskiego, przez tamtego zbuntowany.

Przyjechawszy do Arenberg, odwiedziłem każdego kolonistę w jego domu i zapowiedziałem naukę na godz. 4½. Już poprzednio zawiadomiłem ich o moim przyjeździe i po-

dałem cały rozkład wizyty, lecz mimo to poszedłem do każdego z osobna, bo tu najwięcej obojętny naród. Chciałem się tym sposobem zbliżyć do nich. Proboszcz żalił się, że do kościoła nie chodzą ani mężczyźni ani kobiety. Ks. Bieniasz dwa razy był u nich i nigdy sami się nie stawili do kościoła, dopiero sam ich ściągnąć musiał i to zaledwie kilku przyszło.

Tym razem przyszło do kościoła 12 mężczyzn i 1 kobieta. Zasiadłem według zapowiedzi do konfesyonału. Trzech przystąpiło. Prosiłem, by wszyscy skorzystali z tej sposobności, zachęcałem, przedstawiałem, że już ostatni raz tu u nich jestem, że nie prędko zobaczą polskiego księdza. Lecz oni na to, że nie dawno się spowiadali, a wiedziałem już poprzednio, że to nieprawda. Dałem spokój zachęcaniu i wszedłem na ambonę z nauką. Po nauce zapowiedziałem stanowczo, że ja z kościoła nie wyjdę i ich nie puszczę stąd, aż się wszyscy wyspowiadają. Dałem im chwilę czasu do zrobienia rachunku sumienia, a potem zawołałem pierwszego, by szedł do spowiedzi — przyszedł ten, a za nim wszyscy. Postąpiłem tak dlatego, bom przeczuwał, że ci ludzie nie są źli, lecz boją się, że się z nich śmiać będą. Jest tu kilku takich mędrków, a między nimi jedna młoda mężatka, którzy naśmiewają się z uczciwych. Wyspowiadali się wszyscy w kościele. Posłałem zaraz po nauce po resztę pozostałych w domu, lecz nikt się nie stawił. Poszedłem potem sam do ich domów, zachęcałem, a potem zapowiedziałem, że wrócę specyalnie dla nich w niedzielę po południu. Gdy przyjechałem w niedzielę tylko 3 kobiety wyspowiadałem i 1 chłopca, tego właśnie, którego ów królewiak zbałamucił. Spotkałem go na ulicy i zabrałem z sobą. Opierał się jakiś czas, lecz wreszcie poszedł ze mną i po drodze mi opowiadał, że on był zawsze dobrym, lecz tu go zbałamucił kolega. Innych nie zastałem, bo powychodzili, zdaje się, z domów. Na zakończenie prosiłem, aby co niedzielę na początku zebrania, które urządzają, czytywali przez pół godziny z ks. Gawrońskiego; przyrzekli mi to.

W Escaupont byłem już dwa tygodnie temu. Tym razem nikt nie zgłosił się do spowiedzi św., do kościoła przyszły tylko matki z dziećmi postrojonemi. Odprawiłem Mszę św., odwiedziłem kolonistów w ich domach i zapowiedziałem, że jeszcze raz wrócę do nich, aby cała kolonia się wyspowiadać mogła, bo już tu potem nie przyjadę i nie wiadomo, czy wogóle prędko tu będzie ksiądz polski. Wszystkie kobiety przyrzekły, że się jeszcze raz wyspowiadają i mężom zapowiedzą. Przybyłem. Zastałem tylko 3 kobiety w kościele, bez dzieci, i jednego mężczyznę. Poszedłem do konfesyonału. Wyspowiadał się mężczyzna i 1 kobieta; inne mówiły, że już były, a zarazem dodały, że i mężczyźni dali znać, że także nie przyjdą po południu do spowiedzi. Wobec tej odpowiedzi nie było poco czekać na popołudniu; wyjechałem więc zaraz po Mszy św.

W Lallaing zapowiedziałem, jak wspomniałem poprzednio, osobiście 2 tygodnie temu, że odprawię u nich misyjkę dwudniową, z czego się bardzo ucieszyli i przyobiecali, że się wszyscy wyspowiadają. Usiadłem, według tego, jak zapowiedziałem jeszcze raz listownie, o godz. 3 w konfesyonale. Siedziałem bez przerwy do godz. 7, a moi koloniści kapali po jednemu. O godz. 7 miałem naukę. Dosyć licznie się zgromadzili. Zapowiedziałem, że po nauce dalej spowiadać będę, do późnej nocy, by się wszyscy wyspowiadać mogli, a jutro o godz. 5 rano będę w konfesyonale. Zachęcałem... Wyspowiadałem tylko 47, a kolonia liczy 150 dorosłych. W niedzielę wygłosiłem 2 nauki, włożyłem wszystkim obecnym medaliki i dałem książeczki o Stowarzyszeniu Cudownego Medalika. Kolonia ta stoi najlepiej materyalnie. Kilku robotników zarabia po 7 fr. dziennie, największa część przeszło 6 fr., a zaledwo kilku tylko, i to chłopców, nieco mniej niż 6 fr. Przytem, dzięki nadzwyczajnej przychylności p. dyrektora Nachbaura, mają bardzo tanio pożywienie, bo im hurtownie, po cenach wojskowych sprowadza z Lille. Np. mięso wołowe mają po 63 cent. (a na miejscu jest 1.20 fr.) — ryż mają funt po 18 cent. (zam. 35 cent.). Zdawałoby się, że

powinni być zadowoleni, lecz i tu kwasy, wielu bowiem odpowiadało mi na zapytanie, jak im się powodzi: „Dobrzeby było, gdyby to Francuzi dotrzymali, czego obiecują; lecz oni tylko obiecać umieją. Niemiec nie tak prędko obieca, ale zato dotrzyma". Zawsze tęsknią za Niemcem, dopiero gdy się przedstawi, że tu im przecież daleko lepiej, bo mają wolność, więcej zarabiają, tańsze mieszkania, nie płacą podatku, tańszy wikt, nie pędzą ich do roboty jak u Niemców, przyznają wprawdzie, lecz wnet zaczną znowu przedstawiać swoje biedy i tak bez końca.

Dostają tu wszyscy darmo 1 furę węgla miałkiego na miesiąc (we Westfalii płacić musieli), lecz mimo to narzekają, że lichy, że kiepsko się pali. Nie dosyć na tem, między sobą się gryzą i wzajemnie na siebie szczują. Przewodniczący, którego obrali z pomiędzy siebie, żalił się przedemną ze łzami w oczach, a na zebraniu głośno płakał w czasie przemowy swojej, tak, że przerwać musiał.

Sądzę, że robiliśmy, cośmy mogli. Pociecha stąd ta, że choć część się wyspowiadała, a resztę pozostałą bez sakramentów św. może wyrzut sumienia przygotuje lepiej do przyszłych ekskursyi jakiego polskiego księdza. Uważam, że skończyłem już moją pracę, że powoli powrócić mogę do Krakowa. Jutro pojedziemy z ks. Bieniaszem do Wernhoutsbourg, a pojutrze, w czwartek pojadę do Paryża; stamtąd zaś do Krakowa.

Cudowny Obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego
w kościele Księży Misyonarzy w Milatynie Nowym.

WSTĘP.

Wiadomo nam, że św. Wincenty a Paulo miał szczególniejsze nabożeństwo do miejsc cudami wsławionych. Wszak, jako pielgrzym, udaje się do Rzymu, do tego ogniska wiary i chrześcijańskiej oświaty, nie, aby dogodzić ciekawości, lecz, by tem bardziej przejąć się duchem wiary, żywą nadzieją i gorącą miłością. Ze wszystkich pomników pogańskiego Rzymu, odwiedza tylko Kolizeum, gdzie cudów dokazywały męstwo i stałość męczenników; odwiedza Katakumby, dla uczczenia krwi i popiołów bohaterów Chrystusowych. Z chrześcijańskiego Rzymu poznaje tylko kościoły, uświęcone pobożnością wiernych, i miejsca, na cały świat chrześcijański cudami wsławione.

Wszak to św. Wincenty odbywał nieraz pielgrzymki do cudownej Matki Boskiej w Roc Amandour w południowej Francyi. Kiedy zbliżał się razu pewnego ku zbudowanej na skale kaplicy, mieszczącej Jej obraz cudowny, upadł na kolana nad brzegiem strumyka i wołał ze łzami w oczach: „Zazdroszczę, wam, o wy szczęśliwe góry, szczęśliwa rzeko, szczęśliwe miejsce, — zazdroszczę wam, że tak blizko jesteście łask wszelkich źródła! Ludzie, co mieszkacie u stóp Matki Najświętszej, przyjmijcie mię do chatek waszych, niech żyję i umieram przy Maryi, niech blizko przy Niej znajdę mieszkanie i grób dla siebie!“ Odjeżdżając z cudownego miejsca całował posadzkę, płacząc ze wzruszenia, w drodze patrzył długo na cudami wsławiony przybytek, póki nie zniknął mu z oczu.

Takim to pietyzmem był przejęty św. Wincenty dla miejsc cudownych! Pragnął też zapewne, aby się i jego duchowni synowie podobnym pietyzmem odznaczali. W regułach skreślonych dla Zgromadzenia naszego, zaleca nam mieć osobliwsze nabożeństwo i cześć do Męki Jezusa Chrystusa i tego wszystkiego, co ma z nią styczność. I tem zapewne trzeba sobie tłumaczyć to, że w dawnej prowincyi polskiej lewici wychowywali się w domu pod wezwaniem „świętego Krzyża“, że w ostatnich czasach konfratrzy nasi liczny brali udział w pielgrzymkach do Ziemi świętej, że Zgromadzenie w 1906 roku objęło dom wraz z kościołem w dawnym eremie „św. Krzyża“, w Milatynie, gdzie znajduje się Cudowny Obraz Pana Jezusa, słynny i znany, jak długa i szeroka jest Polska. — Tymże samym pietyzmem powodowany zabieram się do napisania dziejów wspomnianego cudownego obrazu.

Uwaga. Spodziewam się, że Milatyn doczeka się kiedyś obszerniejszej pracy historycznej, dlatego podaję poniżej źródła, z których wiadomości zaczerpnąć będzie można.

1. Liber memorabilium czyli księga pamiątkowa kościoła i probostwa obrządku łacińskiego w Milatynie Nowym.

2. Liber miraculorum patratorum ad imaginem thaumaturgi crucifixi D. N. J. Christi in ecclesia Milatinensi, conscriptus Anno Domini 1769.

3. Opis rozmaitych łask od Pana Jezusa ukrzyżowanego w cudownym obrazie Milatyńskim otrzymanych, od roku 1840.

4. Chwała Krzyża w cudownym Milatyńskim ukrzyżowanym Zbawicielu, a tem bardziej w prześwietnem Imieniu Karoliny z Radziwiłłów Rzewuskiej Rotmistrzowej Chorągwi pancernej i R. P. 1752 fundatorki i osobliwszej dobrodziejki naszej, uwidoczniona od zobligowanych dobroczynnością Pańską W. W. OO. Karmelitów Bosych Rezydencyi Milatyńskiej, R. P. 1758 drukowana in 8° str. 144. (Jedyny egzemplarz u Karmelitanek Bosych w Krakowie na Wesołej).

5. Źródło żywota czyli historya cudów obrazu Milatyńskiego. — Wydali OO. Karmelici we Lwowie 1758 r.

6. Cuda i nabożeństwo wsławionego Obrazu Pana Jezusa ukrzyżowanego, znajdującego się w kościele parafialnym Milatyńskim, na nowo przedrukowane, Lwów 1830 roku.

7. Prawdziwa pociecha w cierpieniu czyli Najświętszy Zbawiciel cudami słynący w Milatynie — drukowana we Lwowie 1866 roku.

8. Opis cudów i łask wsławionego obrazu Pana Jezusa ukrzyżowanego, znajdującego się w kościele parafialnym w Milatynie — drukowane we Lwowie 1880 r., str. 63.

9. To samo w odbitce we Lwowie 1895 roku.

10. Wiadomość o cudownym Obrazie w Milatynie Nowym — wydał ks. Jan Taranowicz, Lwów 1905.

11. Wsławienie Obrazu Pana Jezusa Ukrzyżowanego łaskami i cudami słynącego wszędzie, a w kościele parafialnym Milatyńskim będącego, zebrane cuda i nabożeństwo. Za dozwoleniem Zwierzchności powtórnie do druku podane 1795 roku przez ks. Stanisława barona Błażowskiego parocha Milatyńskiego.

12. Akta komisyjne złożone w Konsystorzu metropolitalnym obrządku łacińskiego we Lwowie.

13. Encyklopedya kościelna podręczna red. Zygmunta Chełmickiego w Warszawie pod lit. K. (Karmelici).

14. Encyklopedya kościelna ks. Biskupa Nowodworskiego t. IX. str. 398 i t. X. str. 50.

15. Archiwum klasztoru OO. Karmelitów Bosych na Czernej i w Wadowicach.

16. Zapiski W. O. Rafała od św. Józefa, (to jest O. Kalinowskiego Karmelity Bosego, wielkiego czciciela Pana Jezusa Milatyńskiego).

17. Archiwum OO. Kamedułów na Bielanach pod Krakowem.

18. W zbiorze rycin Pawlikowskiego znajduje się widok kościoła Milatyńskiego p. l. 4.261.

19. Podobnież Stęczyński w dziele Okolice Galicyi umieścił widok kościoła Milatyńskiego.

I.

Opis obrazu.

Jak niemal wszystkie obrazy wsławione cudami, mają za sobą bardzo dawną przeszłość historyczną, tak podobnie i obraz miłosiernego Pana Jezusa w Milatynie. Kto go malował? W którym czasie powstał? Trudno to dzisiaj odgadnąć. Jest on przedewszystkiem dziełem bardzo starodawnem. Już bowiem w połowie XVIII. wieku Ludwika z Popławskich Sobieszczańska nie miała go z początku w należytem poszanowaniu, bo jak powiada kronikarz, zdawał się jej być starym. Toż samo wynika z dalszego opisu, mianowicie powiada, że po pierwszym cudzie „obraz ten, lubo dawny i przykurzony, zmienił się i zdawał się być nowym".

Powtóre, jest on dziełem malarza, wprawdzie nieznanego nazwiska, posiadającego jednak wszechstronne wykształcenie w sztuce malarskiej, a przytem obdarzonego wyższem natchnieniem i prawdziwą pobożnością; umiał w nim bowiem złączyć dziwną prostotę z pewnym niebiańskim wdziękiem.

Sam obraz jest średniej wielkości, wynosi bowiem 56 cm. szerokości, a 73 cm. wysokości. Malowany jest olejnemi farbami, na grubem płótnie. Tło pierwotnie było jasne lub blado popielate, a postać Ukrzyżowanego z wielkim artyzmem wykończona była znacznie ciemniejsza.

Dzisiaj jest on daleko ciemniejszy, aniżeli dawniej, a to z powodu rzęsistego światła świec, które od wieków tuż obok niego podczas nabożeństwa się świeciło. Do ostatnich czasów, dzięki kurzowi, sadzy i innym naleciałościom, tak był przyćmiony, że rysy jego były zaledwie dostrzegalne dla dobrego widza. Samo malowanie uległo również z biegiem czasu znacznym uszkodzeniom, przedewszystkiem przez to, że dawnymi czasy zmywano obraz winem lub wodą i podawano chorym do picia z cudownym skutkiem. Z licznych podobnych wypadków przytoczę jeden na potwierdzenie mego opowiadania.

W księdze pod tytułem: Liber miraculorum etc., pod l. 22 czytamy: „Anno Dni 1773, 31. Januarii, Augustyn Bukowiecki, będąc w służbie u Jaśnie Wiel. Pana Łosia Pułkownika pancernego na Wołyniu w Dobrach Czernelówka, tamże śmiertelnie zachorowawszy tak, że już był najśw. wiatykiem opatrzony bez żadnej życia nadziei. Wtem powróciwszy z kontraktów Lwowskich Jaśnie Wiel. Pan Łoś Pułkownik, który jadąc przez Milatyn, wziął z sobą wina z obtartego cudownego obrazu Pana Jezusa, i co tylko tegoż dnia 31. Januarii stanął w Czernelówce i zastawszy prawie umierającego Pana Bukowieckiego, tego wina dał mu się napić, którego napiwszy się, zaraz się lepiej mieć począł, bo trzeciego dnia był zupełnie zdrowy. Za które to cudowne uzdrowienie, na podziękowanie Panu Jezusowi przyjechawszy z Panią Anielą, małżonką swoją, do Milatyna i wotum srebrne oddawszy za cudowne uzdrowienie swoje, — zeznając ręką się własną podpisuję. 13. Febr. 1773 Augustin Bukowiecki. — Recognitionem praesentis miraculi suscepi. In quorum fidem apposito sigillo officii subscribo — Fr. Benignus a S. M. Theresia, Protonotarius Apostolicus.

Przypatrzmy się teraz z blizka samemu obrazowi. Głowa Zbawiciela, z której zwieszają się długie włosy, opiera się na prawem ramieniu, niemal poziomo poniżej poprzecznicy krzyża. Malowaną koronę cierniową na skroniach ozdobiono koroną złotą, nad którą umieszczono mniejszą srebną koronę królewską, wysadzaną rozmaitymi drogimi kamieniami. Twarz zwrócona bokiem do widza jest dosyć wyraźna i maluje się na niej niepojęta boleść. Z rąk tryskają krople krwi. Na lewem ramieniu, a zwłaszcza przy szyi, są widoczne ślady świeżych ran. Bok przebity sączy krwią i jest ozdobiony złotą gwiazdą, a w środku błyszczy wspaniały dyament znacznej wielkości. Pierś Zbawiciela jest silnie natężona i nieco ku lewemu bokowi wygięta. W pasie malowaną zasłonę pokrywa złota zasłona, a poniżej znajduje się dyadem srebrny w kształcie pióra ptasiego, znaczną ilością w kilku szeregach o rozmaitej wielkości dyamentów

przybrany. Stopy są prawie niedostrzegalne. Blizny rąk i nóg ozdobione są złotemi gwiazdami. Obraz cały otacza prześliczna, barokowa, bardzo ciężka rama srebrna, prawdopodobnie weneckiej roboty. Wzdłuż brzegu biegnie 2 cm. szeroka obwódka również barokowa. Aby zabezpieczyć obraz na przyszłość od dalszego zniszczenia po gruntownem odczyszczeniu, został zasłonięty grubą szybą szklaną, dnia 25 lipca 1910 roku.

Dotąd nie zdołał tego obrazu odkopiować należycie żaden z malarzy, chociaż ich wielu o to się kusiło. Wobec tego utarło się powszechne przekonanie wśród tutejszego ludu, że Pan Jezus Milatyński nie chce dopuścić, aby rzeczywista kopia gdziekolwiek się znajdowała. Kopia jego z roku 1903 zrobiona dla cerkwi w Milatynie Starym, aby odciągnąć lud od rzeczywiście cudownego obrazu w Milatynie Nowym, pomimo, że posługiwano się wszelkimi możliwymi środkami, aby lud prosty bałamucić, pomimo, że sam Metropolita Andrzej Szeptycki wyrabiał dyplomy na odpusty, a kaznodzieje ruscy wraz z proboszczem sadzili się na to, aby w ciemny tłum ruski wmówić, że od strejków rolnych cudowny Pan Jezus przeniósł siedzibę swoją tu do cerkwi, nikt tym niechrześcijańskim zapędom nie uwierzył i z pewnością sami inicyatorowie tej nowomodnej schizmie dość powszechnej w Galicyi wschodniej wiary nie dają.

Bo też dziwnie potężne wrażenie wywiera obraz ten na każdego widza. Kto raz nań spojrzał, ten z pewnością nigdy go nie puści z pamięci. Powszechne jest zdanie, że ludziom, którzy wzięli rozbrat z cnotą i trwają w złem, postać Ukrzyżowanego wydaje się pełną majestatu, przejmuje ich takim lękiem i zgrozą, że poczynają żałować za grzechy, że Go nimi obrazili. Nie było też podobno wypadku, żeby i najzatwardzialszy grzesznik upadłszy na kolana przed nim, nie nawrócił się. Dusze niewinne lub szczerze pokutujące widzą w postaci Ukrzyżowanego taką niewymowną dobroć i słodycz, że chętnie nietylko godziny, ale i dnie całe przepędzałyby przed nim na modlitwie i głębokiej zadumie. W ca-

łości obrazu uderza niewysłowiona boleść, na widok grzechów zalewających ziemię i w niwecz obracających mękę Jego.

II.

O początkach obrazu i pierwsze cuda.

Wspomniałem wyżej, że trudno dzisiaj zbadać, kto obraz Pana Jezusa Milatyńskiego malował, i w którym czasie powstał. Przypuszczam, że był malowany we Włoszech i to prawdopodobnie przez mnicha. Zapiski i kroniki twierdzą jednozgodnie, że obraz ten przywiózł do Polski z Rzymu około 1700 roku O. Józef Mocarski, były Prowincyał OO. Dominikanów na Rusi. Kroniki w Podkamieniu świadczą, iż był to mąż pełen ducha Bożego, „vir plenus Spiritu sancto“, a przytem „austeritate et doctrina praestantissimus“. Życie pełne dzieł na niwie Kościoła i Ojczyzny, w której był „perłą senatu i dostojników królestwa“, zakończył w roku 1724. Portret jego znajduje się w Podkamieniu wśród luminarzy zakonnych. Ten to mąż wielki, światły i bogobojny, ofiarował wzmiankowany obraz swej blizkiej krewnej, Joannie Krzeczowskiej, z okazyi zaślubin jej z Popławskim, pułkownikiem wojsk koronnych.

Odtąd pozostaje on przez lat dziesiątki w prywatnem posiadaniu tej bogobojnej rodziny, a przechodząc z pokolenia na pokolenie błogosławił jej i w cierpieniach pocieszał. Pułkownikowa Joanna z Krzeczowskich Popławska podarowała znowu powyższy obraz starszej swej córce Ludwice, kiedy ta wychodziła za mąż za Wacława Kucharskiego, miecznika Sieradzkiego. W roku 1734 Ludwika Kucharska, miecznikowa Sieradzka, będąc blizką skonu, wezwała córkę swą Magdalenę, a udzieliwszy jej błogosławieństwa macierzyńskiego, oddała jej pod opiekę najcenniejszy skarb rodzinny: obraz miłosiernego Pana Jezusa. Po śmierci matki, Magdalena Kucharska wyszła za mąż za Antoniego Sobieszczańskiego, cześnika Latyczewskiego, a osiadłszy w Nowym Stawie, wiosce odległej od Kamionki Strumiłowej o 8 km., zabrała ze sobą obraz przekazay sobie przez bogobojną ma-

tkę. — Obraz ten, jak widać z tego opowiadania, służył przez pół wieku jako podarek ślubny i był zawsze nieocenionym klejnotem młodego stadła małżeńskiego. Zbliżał się jednak już czas, w którym miał nabrać rozgłosu i stać się źródłem przeobfitych łask i cudów, dla tych wszystkich, którzy się doń zwrócą.

Po kilkoletniem pożyciu Sobieszczańskich, cześnikowstwa Latyczewskiego, w Nowym Stawie w 1745 roku najstarszy syn ich Jan Nepomucen nagle śmiertelnie rozchorował się i lada chwili spodziewano się katastrofy. Matka nie mogąc się z żalu utulić, a pokładając nieograniczoną ufność w miłosierdziu Boskiem, zafrasowana prosi męża, by dany jej przez matkę na łożu śmierci leżącą ś. p. Ludwikę obraz Pana Jezusa, którego nie miała od pewnego czasu w należnej czci, włożył do kołyski umierającego synaczka. I, o dziwo, zaledwie ojciec uczynił zadosyć pobożnemu życzeniu stroskanej matki, już konający Jan Nepomucen, jakby ze snu zbudzony, o własnej mocy natychmiast sam powstaje i zupełnie zdrowy opuszcza kołyskę. Co więcej, obraz w tejże samej chwili, lubo stary i przykurzony, zmienił się i zdał się być nowym. Kiedy jednak rodzice dziecka i cudowi obecni świadkowie, upadli na kolana i wdzięcznem sercem poczęli się modlić, powrócił do pierwotnego stanu.

Rodzice pocieszeni cudownem uzdrowieniem dziecięcia, z wdzięczności za doznaną łaskę, nietylko przyozdobili głowę Pana Jezusa, znajdującego się na obrazie, srebrną koroną i takiemże serduszkiem u boku, ale nadto, umieścili go w swej domowej kaplicy, mieszczącej się tuż obok pomieszkania. — Była to niewielka stara drewniana kapliczka, którą przed kilkudziesięciu laty zburzono, a na jej miejscu zbudowano w kształcie rotundy murowaną i umieszczono w niej kopię prawdziwego obrazu Pana Jezusa Milatyńskiego. Obecny Najprzewielebniejszy ks. Biskup Sufragan Lwowski Władysław Bandurski, będąc wikarym w Kamionce Strumiłowej zajął się nią gorliwie. Po Jego odejściu ksiądz ruski z Czystynia usiłował ją sobie przywłaszczyć, ale na

szczęście zapobieżono tej grabieży, praktykowanej nieraz w Galicyi wschodniej przez parochów ruskich.

Wróćmy jednak do naszego opowiadania. Z chwilą, kiedy wzmiankowany obraz umieszczono w wyżej opisanej kaplicy, spełniły się słowa Pisma św., choć w innem znaczeniu wypowiedziane: „A ja jeźli będę podwyższon od ziemi, pociągnę wszystko do siebie“ (Jan XII. 32). Szli więc kapłani do Nowego Stawu, aby przenajświętszą Ofiarę sprawować przed obrazem miłosiernego Pana Jezusa, — szły liczne rzesze wiernego ludu obu obrządków, aby u Jezusa szukać pociechy. Przedewszystkiem zwracano się tu jednak tylko w potrzebach doczesnych, bo kapłanów stałych nigdy w Nowym Stawie nie było.

Nie brakło też tam zdarzeń nadzwyczajnych i cudów, które specyalnie w tym celu delegowana komisya pod przysięgą naocznych świadków zbadała i za cudowne uznała. Są prawdopodobnie z autentycznych aktów wypisane i drukiem ogłoszone we Lwowie w 1758 roku w książce pod tytułem: „Źródło żywota“, to jest Historya cudów Obrazu Milatyńskiego. W notatkach parafialnych jest tylko jedno zeznanie, z roku 1746, zapisane. Mianowicie zeznał pod przysięgą i wobec naocznych świadków ksiądz Mateusz Maxymowicz, pleban Czystyński obrządku grecko-katolickiego, jak następuje: „Ja na sobie doznaję, który od niedziel dwudziestu chory zostaję, że ile razy lubo dużo słaby, przyjdę i mam Mszę św. przed tym obrazem, tyle razy mi się ulży i zdrowszy odchodzę“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Piotr Brukwicki.

Z podróży na Wschód.

21. Z działalności św. Pawła w Efezie.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli wspominamy o warunkach, sprzyjających rozwojowi misyi chrześcijańskich w Efezie, to warto nadmienić jeszcze o jednej okoliczności. To samo, co tak ułatwiało rozwój judaizmu i tylu ściągało do niego prozelitów, także jeszcze w większej mierze pociągało rzesze do chrześcijaństwa. Ludność grecka odurzona poprostu najdziwaczniejszymi kultami religijnymi, zaspokajającymi raczej zmysły tylko, odczuwała głód większego zbliżenia się do Boga. Św. Paweł umiał to pragnienie doskonale wyrazić w swej mowie, wygłoszonej w Areopagu w Atenach. (Act. Ap. XVII. 22—30go. Jeżeli w Atenach nie natrafiło słowo św. Pawła na grunt urodzajny, to w Efezie zato bujniej się przyjęło. Dzieje Ap. nie dają nam wprawdzie żadnych dat statystycznych co do wielkości gminy chrześc., ale już to, że św. Paweł przez trzy lata dzień i noc pracując (Act. Ap. XX 31) znajduje wciąż nowe pole ewangelizacyjne, daje nam najlepsze pojęcie owoców tej działalności. Rzeczywiście nietylko w Efezie, ale w całej prowincyi Azyi kilka zaledwie lat później znajdujemy porozsiewane gminy chrześcijańskie, jak w Laodycyi, Hierapolis i Kolossach (Col. II, 1; IV, 13, 16). Już w pierwszym liście do Koryntyan XVI, 19 wspomina św. Paweł inne kościoły azyatyckie: Salutant vos ecclesiae Asiae. Jeszcze u schyłku trzeciego roku swej pracy apostolskiej w Efezie z radością donosi chrześcijanom w Koryncie o nowem polu pracy, jakie mu się tutaj otwarło: permanebo autem Ephesi

usque ad Pentecosten. Ostium enim mihi apertum est magnum et evidens et adversarii multi. Nie podaje nam jednak bliżej, jacy to przeciwnicy i jakie to nowe pole pracy przed żniwem apostolskiem się otwarło.

Tymczasem okoliczności zmusiły św. Pawła do szybszego opuszczenia miasta tak przez siebie ukochanego, gdzie wśród trudów, wśród łez i prześladowań głosił ewangelię całe trzy lata. Chociaż wystąpienie pisarza efezkiego wobec zburzonych tłumów zapewniło św. Pawłowi bezpieczeństwo, jednakże uważał św. Paweł za stosowne opuścić na razie Efez (cf. Act. Ap. XX, 1): „a gdy się uciszył ten rozruch, wezwawszy Paweł uczniów i napominając ich pożegnał się z nimi i pojechał, aby szedł do Macedonii". Myślą jednakże zostaje wielki apostoł wciąż wśród swoich uczniów w Efezie. To też zwiedziwszy kościoły Macedonii i Grecyi, a czując, że się zbliża jego zgon, pragnie jeszcze raz z nimi się zobaczyć. Podróż św Pawła do Jeruzalem (opisana w XX. r. Act. Ap.) odbywa się z niesłychaną szybkością. Spędziwszy wielkanocne święta we Philippi, pragnął już na Zielone Świątki być w Jeruzalem. W podróży tej zatrzymuje się dłuższy czas w Troadzie, gdyż tam na pół roku przedtem był zebrał obfite owoce ewangelizacyjne (2 Cor. II, 12.): Cum venissem autem Troadem propter evangelium Christi et ostium mihi apertum esset in Domino... Tymczasem okręt, którym płynął św. Paweł od Assos zatrzymał się tylko w Mitileni, Chios i w Milecie, a minął Efez. (Act. XX, 15). Przeto też polecił starszym kościoła efezkiego zebrać się w Milecie, gdyż pragnął się z nimi jeszcze raz pożegnać. Mowa, którą do nich wygłosił, jest tak piękna i tyle w niej szczegółów, że niepodobna jej nie przytoczyć w całości. Gdy się zebrali starsi, w te przemówił do nich słowa: „Wy wiecie od pierwszego dnia, któregom wszedł do Azyi, jakom z wami był przez wszystek czas, służąc Panu z wszelaką pokorą i ze łzami i pokusami, które na mnie przychadzały ze zasadzek żydowskich. Jakom nie opuścił nic pożytecznego, żebych wam oznajmić nie miał i nauczał was publicznie i po domach: oświad-

czając żydom i poganom pokutę ku Bogu i wiarę w Pana naszego Jezusa Chrystusa". — Jak głęboką wszczepił św. Paweł znajomość zasad wiary chrześcijańskiej w umysły chrześcijan w Efezie, najlepszym tego dowodem są listy pasterskie do Tymoteusza i do Koloseńczyków i Efezyjczyków. Wykłada im tam najszczytniejsze prawdy wiary naszej; nie karmił ich już tylko mlekiem zasadniczych tajemnic wiary, ale starał się wniknąć w najgłębsze ich zrozumienie. A żegnając się z nimi, przemawia z całą czułością serca kochającego ojca: „A teraz oto ja związany duchem (przynaglony głosem wewnętrznym) idę do Jeruzalem, nie wiedząc, co się tam ze mną dziać będzie, jedno że Duch św. po wszystkich mieściech niepokoi mię. (Gdziekolwiek przybył, chrześcijanie obdarzeni nadzwyczajnymi darami Ducha św. przepowiadali św. Pawłowi prześladowania, jakie go spotkają w Jerozolimie; cf. Act. Ap. XXI. 4, w Tyrze ostrzegają św. Pawła, by nie szedł do Jerozolimy; w Cezarei zaś prorok Agabus wziąwszy pas Pawłowi i związawszy swe ręce i nogi, rzekł: „To mówi Duch św.: męża, którego jest ten pas, tak zwiążą w Jeruzalem żydowie i podadzą w ręce poganom". Mimo tej wewnętrznej pewności, że czeka go więzienie i utrapienie w Jeruzalem, nie może odstąpić od raz powziętego planu). Ale za nic sobie tego nie ważę i zdrowia mego drożej sobie nie szacuję, niźli mnie samego: bym tylko dokończył biegu mego i posługi, którąm wziął od Pana Jezusa ku oświadczeniu ewangelii i łaski Bożej. A teraz oto ja wiem, że nie oglądacie więcej oblicza mego wy wszyscy, którymem przeszedł przepowiadając królestwo Boże. Przetoż oświadczam się wam dnia dzisiejszego, żeciem ja jest czysty ode krwie wszystkich. Albowiemem się nie chronił, żebych wam nie miał oznajmiać wszelkiej rady Bożej. Pilnujcież sami siebie i wszystkiej trzody, nad którą was Duch św. postanowił biskupami, abyście rządzili Kościół Boży, którego nabył krwią Swoją". Teraz oko Apostoła zwraca się w daleką przyszłość i miecz boleści rani jego serce, gdy widzi, jak jad błędu i herezyi ma zatruć niwy zroszone jego potem. Upomina

też pasterzy do jak największej czujności: „Lecz wiem, że po odejściu mojem wnijdą między was wilcy drapieżni, nie folgując trzodzie. I z was samych (z pośród pasterzy niestety także) powstaną mężowie mówiący przewrotności, aby odwiedli ucznie za sobą. Dlatego czujcie, pomnąc, żeciem przez trzy lata w nocy i we dnie nie przestawał napominać z was każdego ze łzami. A teraz poruczam was Bogu i słowu łaski Jego, który może przybudować i dać dziedzictwo między wszystkimi poświęconymi. Nie pożądałciem żadnego z was srebra, ani złota, ani szaty. Sami wiecie, iż moim potrzebom i tych którzy ze mną, służyły te ręce. Wszystkoćem wam ukazał, iż tak pracując potrzeba podejmować słabych, a pamiętać na słowo Jezusowe, że on mówił: „Szczęśliwsza jest dawać, niżeli brać“. A dodaje św. Łukasz: „a gdy to rzekł, klęknąwszy na kolana swe, modlił się z nimi wszystkimi. I stał się płacz wielki wszystkich, a upadając na szyi Pawłowej całowali go. Będąc najbardziej żałośni z tego słowa, które powiedział, że więcej nie mieli oglądać oblicza jego. I odprowadzili go do okrętu“. (cf. Act. XX. 36—38).

Z Miletu popłynął św. Paweł dalej na południe, w przekonaniu wewnętrznem, że wiernie spełnił swoje posłannictwo, i z radością niemałą, że ugruntował wiarę chrześcijańską na niwie tak żyznej, jaką była prowincya azyatycka. Zdawał sobie zapewne jasno sprawę z wielkości dzieła, którego dokonał. Potężnym swym duchem zrozumiał, jak bogaty plon wyda posiew ewangeliczny właśnie w Azyi. Żadna inna część kościołow nie miała odegrać w drugiem pokoleniu chrześcijańskiem tak wielkiej i ważnej roli jak prowincya azyatycka. Nawet kościół rzymski, którego rozkwitowi w tym samym czasie tak chlubne daje świadectwo sam św. Paweł (cf. Rom. I. 8), nie miał dla rozwoju nauki i życia chrześcijańskiego tego znaczenia, co gminy azyatyckie. Zobaczymy zaraz, że dlatego to właśnie św. Paweł nie spuszczał oka z tych gmin. Na ich czele postawił najukochańszego swego ucznia Opatrzność Boża i po zejściu św. Pawła z dziwną troskliwością zajmie się tymi kościołami. Wśród nich ostatnie

30 lat swego życia spędzi św. Jan apostoł. A tradycya chrześcijańska przechowuje nam wspomnienie, że w Efezie zamieszkała św. pokutnica Magdalena. Jedna z córek Filipa dyakona obdarzona duchem proroczym tutaj znajdzie swój grób. W Hierapolis umarł Filip dyakon. W Smyrnie żyje św. Polikarp. Do tych kościołów w ostatniem swojem orędziu zwrócił się św. Piotr, a prawdopodobnie i Judasz apostoł. Wielki zaś męczennik św. Ignacy antyocheński płomiennymi listami zagrzewać będzie wiarę tych gmin, tak wybitną rolę odgrywających w historyi Kościoła św.

Jak nam opisują Dzieje Ap. dostał się św. Paweł w Jeruzalem do więzienia rzymskiego, oskarżony przez żydów, jako gwałciciel świątyni i praw zakonnych. Dwa lata przesiedział w więzieniu w Cezarei nie mogąc się doczekać końca procesu, który wypadł dlań pomyślnie: uwolnieniem. Ale i tutaj nie spuszczał z oka gmin założonych w Azyi. W tym czasie napisał trzy listy do kościołów efezkiego, koloseńskiego i do Filemona, w których objawia najwyższe swoje zainteresowanie dla tych gmin chrześcijańskich. Wprawdzie nie znajdujemy wyraźnej wzmianki o Efezie wyjąwszy tylko w 1 w. I. r. ad Eph., ale i w tym względzie wielu krytyków jest zdania, że in Epheso nie jest oryginalnem. Powszechnie bowiem uważają egzegeci, że list zatytułowany w naszym kanonie „ad Ephesios“ jest encykliką, w której się zwraca św. Paweł do wszystkich gmin azyatyckich, i że prawdopodobnie jest identyczny z listem wysłanym do kościoła Laodycei, cf. Coloss. IV. 16. W listach tych wspomina św. Paweł, że nie zna osobiście chrześcijan, do których się zwraca, i dowiadujemy się także z nich, że chrześcijaństwo szerzyło się w prowincyi Azyi aż do najdalej na wschód wysuniętych miast, Laodycei, Kolossów i Hierapolis. Najprawdopodobniej z Efezu rozeszła się wiara po wszystkich miastach Azyi, a wspomniany apostoł Kolosensów Epaphras zdawał relacyę o stanie misyi św. Pawłowi w Rzymie. Z obydwóch listów do Kolosensów i Efezyjczyków możemy sobie wyrobić pojęcie o stanie chrześcijaństwa koło roku 63. Ścisłe powinowactwo

jakie zachodzi pomiędzy obydwoma temi pismami wskazuje, że w ówczesnych gminach odbywała się bardzo ważna ewolucya, świadcząca z jednej strony o żywotności ich wiary, ale z drugiej zaniepokoiła św. Apostoła, gdyż pojawiają się różne nauki, wprawdzie nie wprost błędne i heretyckie, ale wielce niebezpieczne dla jedności i czystości wiary. Z listu do Kolossensów możemy wywnioskować, jakiego to rodzaju były te nauki. Św. Paweł w II. r. tego listu podaje nam obszerną charakterystykę tych prądów. Zaznaczywszy swą wielką radość z powodu ich wiary i swą troskliwość około ich postępu wewnętrznego cieszy się, że są tak głęboko pouczeni w miłości i przejęci wysokiem rozumieniem tajemnic wiary Jezusa Chrystusa, ostrzega ich jednakże, aby nie dali się zwieść czczą wymową ludzką. Z całą stanowczością nakazuje, by mocno trwali przy wierze, którą otrzymali: Bo aczkolwiekem nie jest obecny ciałem, ale duchem jestem z wami, weseląc się i widząc porządek wasz i utwierdzenie wiary waszej, która jest w Chrystusie. Jakoście tedy przyjęli Chrystusa Pana, w nimże chodźcie, wkorzenieni i wybudowani w nim, i umocnieni wiarą, jakoście się też nauczyli obfitując w nim w dziękowaniu (Coloss. II. 5—8). Ostrzega ich św. Paweł przedewszystkiem przed fałszywą filozofią (Coloss. II. 8). Dalej aby nie dali się oszukać, przestrzeganiem jakichś ustaw ludzkich, które bliżej określa, jako niezdrowe praktyki ascetyczne, polegające na święceniu neomeni, szabatu i świąt, a także na powstrzymywaniu się od pewnych pokarmów i napojów (Coloss. II. 16). Wreszcie ostrzega przed pewnemi nabożeństwami, których źródło leży według niego w fałszywej pokorze, a które się zasadzały na kulcie aniołów. Potępia to surowo św. Paweł: Niechaj was nikt nie podchodzi, chcąc przez pokorę i nabożeństwo aniołów, hardzie postępując w tem, czego nie widział, próżno się nadymając z umysłu ciała swego. To też św. Paweł z całą stanowczością występuje przeciwko tej niezdrowej pobożności, wskazując na konieczność wiary w odkupienie, dokonane przez Chrystusa, który jest obrazem niewidzialnego Boga,

pierworodnym wszystkiego stworzenia, gdyż w Nim stworzone zostało wszystko, co jest w niebie i na ziemi: rzeczy widzialne i niewidzialne, trony, panowania, księstwa i władze (sive throni sive dominationes sive principatus sive potestates) (Coloss. I. 16). Paralelny ustęp znajdujemy w liście do Efezyjczyków I. 21. Widocznie, że podobne błędy, jakie są w Kolossach, szerzą się w całej prowincyi azyatyckiej. Z charakterystyki tych prądów wynika, że mają one podwójne źródło: żydowskie i teozoficzno - pogańskie. Pierwiastek żydowski objawia się w przestrzeganiu świąt, neomenia, sabbata, festa, a także w rozróżnianiu potraw i napoju; zaś pierwiastek grecki okazuje się w tem, że między Bogiem a ludźmi jako konieczny pośrednik przyjmują szeregi różnych duchów niebieskich. Znajdujemy tu zatem teorye oparte na pojęciach filozofii Platońskiej, że Bóg zamieszkuje sfery dla człowieka niedostępne. Już u Filona aleksandryjskiego spotykamy pojęcie Logosa, który pośredniczy między Bogiem a światem widzialnym. Doktryny te w Kolosach i Efezie nie przybrały jeszcze formy heretyckiej; niemniej jednak ostro karci to św. Paweł nazywając je „próżnem oszukiwaniem“ (inanis fallacia secundum traditionem hominum secundum elementa mundi et non secundum Christum). Duch św. Pawła przejęty na wskróś wiarą nadprzyrodzoną lęka się, aby gonienie za złudną mądrością filozoficzną nie sprowadziło rozterek, jakie kiedyś powstały przy podobnej okazyi w Koryncie (cf. 1 Cor. I—IV).

Aby jeszcze skuteczniej zwalczać wszystkie te niezdrowe prądy, wyrastające na bujnej glebie świeżo powstałych gmin, posyła do Azyi zaufanego ucznia Tychikusa, celem bliższego zbadania rzeczy na miejscu i usunięcia nadużyć. A równocześnie zapowiada blizki swój przyjazd; gdyż kiedy te listy pisał, już miał pewną nadzieję, że skończy się niedługo jego wygnanie. (Philem. w. 22).

Po wypuszczeniu na wolność św. Paweł ponownie znalazł się w Azyi. Pod tym względem niema już najmniejszej dzisiaj wątpliwości, gdyż listy pasterskie dają nam najlepszy

dowód, że św. Paweł jeszcze raz objechał prawie wszystkie gminy przez siebie założone w Azyi i Grecyi.

Jeżeli krytyka racyonalistyczna jednomyślnie odrzuca autentyczność 3 listów pasterskich, to powoduje nią uprzedzenie i zacietrzewienie. Wychodząc z mylnego stanowiska, że początków Kościoła katolickiego należy szukać dopiero w drugim wieku ery chrześcijańskiej, konsekwentnie odepchnąć musi wszystkie dokumenta Nowego Testamentu, noszące na sobie piętno wybitnie katolickie. Z tego też punktu widzenia odrzucała niegdyś z całą energią ewangelię Mateusza, przenosząc jej powstanie do II. wieku. Sumienniejsze wszakże badania krytyczne dokumentów ewangelicznych oraz literatury starochrześcijańskiej wykazują zwycięsko, że nasza ewangelia Mateuszowa istnieje już w 80 roku, dzisiaj żaden historyk przeczyć tego nie może. Jednakże co do listów pasterskich stanowisko nowoczesnej krytyki jest nieubłagane, spodziewać się jednak możemy z całą pewnością, że i tę pozycyę z czasem opuści, gdyż coraz to gruntowniejsze studya nad źródłami Nowego Testamentu pouczają, że początki Kościoła chrześcijańskiego w jego formie katolickiej sięgają głęboko w epokę apostolską. Listy pasterskie są dla nas nieocenionem źródłem. Na nich najdowodniej możemy studyować rozwój Opatrznościowy objawienia Nowego Testamentu. Wiemy napewno dzisiaj na jakie grupy rozpadają się listy św. Pawła. Na samym czele listów apostolskich mamy dwa listy do kościoła w Tessalonice. Są one pierwsze, które wyszły z rąk Pawła św. Treścią swoją także są najprostsze i dotykają najżywotniejszej formy przepowiadania apostolskiego. Chrystus Jezus wysyłając Apostołów w świat, zalecił im opowiadać ewangelię Królestwa, a zarazem też zapowiadać rychłe swoje ukazanie się. Obydwa też listy obracają się głównie koło tematu Chrystusowego. Kazanie Pawłowe o ukazaniu się Pana Jezusa taką napełniło ich tęsknotą za Jego przyjściem, które sobie wyobrażają jako nader rychłe, iż porzucają pracę i zajęcia swe codzienne, oddając się marzeniom bezowocnym.

Druga grupa listów św. Pawła — to listy do Galatów, Koryntyan i Rzymian. W nich wszystkich na czoło wysuwa się kwestya usprawiedliwienia i uświęcenia naszego. Ogromny wzrost, jaki osięgnął Kościół Boży, wskutek pierwszej i drugiej podróży św. Pawła musiał wywołać konflikt oczywisty między gminami helenistycznemi a gminami żydowskiemi. Prawda że sobór Jerozolimski (Act. Ap. XIX.) sprawy te zasadniczo już był rozstrzygnął, uchwała wszakże, jak widzimy z napisu tego dekretu, odnosi się do kościołów Syryi i Fenicyi. Prawda, że św. Paweł dekret ten także opublikował w gminach Lykaonii i Pizydyi, ale nie uczynił tego w gminach, założonych w czasie II. i III. swej podróży misyjnej. To też ustawicznie judaistyczni emisaryusze z Jeruzalem niepokoją gminy św. Pawła próbami narzucenia prawa Mojżeszowego chrześcijanom pochodzącym z pogan. Przeto też w tych 4 listach nakreślił św. Paweł mistrzowską swoją ręką całą naukę o usprawiedliwieniu przez wiarę w Chrystusa Pana, przyczem z całą stanowczością odmówił przepisom zakonnym jakiejkolwiek mocy w uświęceniu naszem.

Trzecia grupa listów św. Pawła — to wspomniane już listy pisane z niewoli: do kościoła efezkiego, w Kolossach i w Filippi, i list do Filemona. Ostatnie dwa listy zajmują się przeważnie sprawami osobistemi i św. Paweł, choć dotyka w nich zlekka wielkich dogmatów chrześcijańskich, wszelako nie rozstrząsa ich ex professo. Zato dwa pierwsze listy stanowią nieoceniony przyczynek do poznania nowego etapu objawienia apostolskiego. Nauka św. Pawła o usprawiedliwieniu zniwelowała zupełnie różnice, jakie jeszcze mogły istnieć pomiędzy gminami judaistycznemi a helenistycznemi; w ten sposób przygotowała grunt pod rozwinięcie dogmatu jedności Kościoła Bożego na ziemi. Św. Paweł z tą samą potęgą ducha, co w 4 wielkich listach, w szerokich rysach przedstawia nam wielkość naszą w Chrystusie. Kościół w oczach św. Pawła — to Chrystus mistyczny. On jest ciałem, niewidzialną głową Chrystus, życie Boże zlewające się z łączności z Chrystusem pulsuje w nim z całą siłą żywotną.

Ostatnia wreszcie grupa listów Wielkiego Apostoła — to listy pasterskie. Widzimy w nich sędziwego misyonarza, patrzącego na bujny plon swego posiewu ewangelicznego. Z radością spogląda na dojrzewające niwy, a czując blizki swój zgon, pragnie ostatecznie je uorganizować. Z listów św. Pawła i Dziejów Ap. pokazuje się, że wszystkiemi założonemi przez się gminami kieruje on sam jako najwyższy pasterz; czy to przez listy swoje, czy też przez pomocników misyonarskich, jak Tymoteusza, Tychika, Krescensa i wielu innych załatwia wszystkie ogólniejsze i żywotniejsze sprawy kościołów poszczególnych. Listy pasterskie natomiast stanowią nowy krok naprzód w organizacyi gmin chrześcijańskich. Dotychczas, jak to widzimy w Dziejach Ap. na czele poszczególnych kościołów stoją kolegia presbyterów, czyli biskupów, nigdzie jednak nie mamy wyraźnego śladu monarchicznego episkopatu. Jeden tylko wyjątek stanowi kościół jerozolimski, rządzony przez Jakóba brata Chrystusowego, obok którego znajdujemy rady presbyterów. Listy zaś pasterskie pokazują nam, że na czele kościoła na Krecie stoi Tytus a w Efezie Tymoteusz. W ich rękach spoczywa najwyższa władza, oni wyświęcają kapłanów i dyakonów, rozsądzając o ich godności i zaletach do tego urzędu, kierują publicznemi nabożeństwami i utrzymują w czystości całość nauki chrześcijańskiej. Wszystkie jednakże te władze sprawują z ramienia i polecenia św. Pawła, który zastrzega sobie władzę odwołania ich z powierzonych sobie stanowisk. Zwłaszcza Tymoteusz w Efezie ma wszystkie atrybucye władzy biskupiej. Jeżeli Tytus więcej przejściowo zarządza kościołami na Krecie, to zdaje się Tymoteusz definitywnie objął zarząd kościoła efezkiego.

Listy do Tymoteusza rzucają nam jasne światło na stosunki, panujące wówczas w kościele efezkim. Tyle znajdujemy w nich praktycznych uwag, tyle cennych szczegółów dla poznania życia chrześcijańskiego, że wypada nam bliżej rozebrać ich treść. Głównym celem, dla którego zostawił św Paweł w Efezie Tymoteusza, było, aby pouczał i prze-

strzegał wiernych przed nowemi doktrynami, by nie oddawali się bajkom i mytom, które więcej zaciekawiają, próżność, aniżeli budują w wierze. Główna zatem troska św. Pawła to utrzymanie w czystości i nieskazitelności depozytu wiary, o czem przestrzegał w swej pożegnalnej mowie w Milecie (Act. Ap. XX) i w listach (Coloss. et Ephes.), teraz stało się rzeczywistością. Błędy zrazu nieszkodliwe stają się coraz niebezpieczniejsze dla jedności wiary. Stroskany o przyszłość chrześcijaństwa aż na 6 miejscach poucza Tymoteusza, jak ma występować przeciwko tym nowym naukom. Przypatrzmy się bliżej tym upomnieniom św. Pawła. „Jakom cię prosił, abyś zamieszkał w Efezie, gdym szedł do Macedonii, abyś opowiedział niektórym, aby inaczej nie uczyli, ani się bawili baśniami i wywodami genealogicznymi, które raczej wzniecają spory niż zbudowanie Boże, które jest w wierze. Celem przykazania wszakże jest miłość z czystego serca i sumienia dobrego i wiary nieobłudnej, od których niektórzy odstrzeliwszy się odwrócili się ku próżnomówności, chcąc być nauczycielami Zakonu, nie rozumiejąc, ani co mówią ani o czem twierdzą (1 Tim. I. 3—7).

...Duch jawnie powiada iż w ostateczne czasy odstąpią niektórzy od wiary, przystawając do duchów obłędliwych i nauk czartowskich, w obłudzie kłamstwo mówiących, piętnowane mających sumienie swoje, zakazujących małżeństwa i używania pokarmów, które Bóg stworzył ku pożywaniu z dziękczynieniem, wiernym i tym, którzy poznali prawdę. Bo wszelkie stworzenie Boże dobre jest a nic nie ma być odrzucane, co z dziękowaniem bywa przyjmowane; albowiem poświęcone bywa przez słowo Boże i modlitwę (1 Tim. IV. 1—5).

...Jeśli kto inaczej uczy á nie przestaje na zdrowych mowach Pana naszego Jezusa Chrystusa i na tej nauce, która jest wedle pobożności, pyszny jest, nic nie umiejący, lecz dotknięty chorobliwemi kwestyami i sporami o słowa: z których pochodzą zazdrości, swary, bluźnierstwa, złe podejrzenia, przewrotne wykręty ludzi umysłu skażonego, którzy

utracili prawdę, którzy pobożność za zysk uważają. (1 Tim. VI. 3—5).

...To przypominaj, oświadczając przed Panem. Nie spieraj się słowy, bo się na nic nie przygodzi, jedno na skazę słuchających. Staraj się pilnie, abyś się stawił doświadczonym Bogu, robotnikiem nienaganionym, dobrze rozbierającym słowo prawdy, a świeckich rzeczy i próżnomówności strzeż się, albowiem przymnażają więcej niepobożności, a mowa ich szerzy się jak gangrena. Z których jest Hymeneusz i Filetus, którzy od prawdy odpadli powiadając, iż się już stało zmartwychwstanie i wywrócili wiarę niektórych. (2 Tim. II. 14—18).

...A wiedz to, iż w ostateczne dni nastaną czasy niebezpieczne. I będą ludzie sami siebie miłujący, łakomi, hardzi, pyszni, bluźniercy, rodzicom nieposłuszni, niewdzięczni, niepobożni, pozbawieni miłości, słowa niedotrzymujący, potwarcy, niepowściągliwi i nieskromni, niedobroczynni zdrajcy, uporni, zaślepieni i rozkosze więcej miłujący niźli Boga; mający pozór pobożności, lecz się mocy jej zapierający. A tych się chroń. Albowiem z nich są, którzy się wkradają w domy i pojmane uwodzą niewiastki, grzechami obciążone, miotane rozmaitemi pożądliwościami, które się zawżdy uczą, a nigdy ku uznaniu prawdy nie przychodzą. A jako Jannes i Mambres sprzeciwiali się Mojżeszowi, tak też i ci sprzeciwiają się prawdzie, ludzie rozumu skażonego i sfałszowanej wiary. Aleć więcej nie wskórają, gdyż ich szaleństwo znane będzie wszystkim, jako i tamtych było (2 Tim. III. 1—9).

...Przyjdzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale wedle swej pożądliwości nagromadzą sobie nauczycieli, oddani próżnej ciekawości, a odwróciwszy uszy od prawdy ku kłamstwu się zwrócą (2 Tim. IV. 3—5).

Podobne nauki w tych samych mniej więcej słowach napiętnowane są przez św. Pawła w liście do Tytusa (cf. Tit. X. 1—16; III. 9—11). Jako główni sprawcy tych doktryn uchodzą żydzi. Nie są to już iudaizantes, ale żydzi niewierni, przed którymi przestrzega Tytusa. Św. Paweł nazywa ich nauki niepożytecznemi i próżnemi, a krzewiciele ich szerzą

je dla brudnego zysku. W liście do Tymoteusza odróżnia dwa rodzaje doktrynerów: jedni obecnie niepokoją gminy chrześcijańskie, ale po nich w przyszłości mają nastąpić daleko gorsi. Jak św. Paweł ich przedstawia, „głosić będą nauki dyabelskie, zakazując używania małżeństwa i niektórych pokarmów, zapominając o tem, że wszelkie stworzenie Boże jest dobre, natomiast zaś hołdować będą wszelkiego rodzaju występkom, a szczególnie pociągną za sobą mnóstwo kobiet, uwikłanych w różne pożądliwości i zmysłowości.

Z całem zapałem apostolskim przynagla i Tymoteusza, aby tych błędnowierców i sekciarzy surowo upominał, a gdyby posłuchać nie chcieli, powinien się stanowczo od nich odsunąć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Lwów. — *Jubileusz ks. Superyora Blocka* (1860—7/IV—1910). Dzień 6 lipca zgromadził spory zastęp konfratrów naszej prowincyi, z Przew. ks. Wizytatorem na czele, w domu św. Kazimierza we Lwowie. Senior prowincyi naszej, superyor u św. Kazimierza, ks. Franciszek Block święcił w tym dniu złote gody kapłańskie. — Właściwy dzień jubileuszu przypadał na 7 kwietnia, dla wygody przyjezdnych konfratrów odłożono uroczysty obchód na lipiec. — Już w wigilię zjechali niemal wszyscy goście. Około pół do siódmej wieczorem składał na czele zgromadzonych konfratrów Przew. ks. Wizytator życzenia Czcig. Jubilatowi, imieniem całej prowincyi, wyrażając wdzięczność za wzór młodzieńczej prawie mocy ducha i zaparcia, jaśniejących w akuratności w zachowaniu Reguł, w miłości dla Zgromadzenia, w pracowitości niezmordowanej, którym nam świecił dotąd i Bóg daj jeszcze w długie lata. — W sam dzień uroczysty przybył, około godziny 9, J. E. ks. Arcybiskup Bilczewski do kościoła św. Kazimierza, skąd przybrany w szaty pontyfikalne poszedł w procesyi po Jubilata do rozmownicy domu konfratrów. W przepięknej przemowie, która wszystkich obecnych do głębi wzruszyła, wyrażał swą radość z powodu jubileuszu, w którym sam uważał sobie za obowiązek wdzięczności brać udział, bo Jubilat „od lat szeregu jest powiernikiem jego sumienia, przykładem wzniosłych cnót kapłańskich świeci na całą archidyecezyę, na kraj cały, i krzepi nim zastępy kapłanów i świeckich ludzi, a od długich lat pracuje pożytecznie i zbożnie w winnicy Pańskiej“. Specyalne błogosławieństwo Ojca św. i jego portret wraz z własnoręcznym podpisem ma być najmilszym podarkiem dla Jubilata, wiernego zawsze syna Kościoła i gorąco przywiązanego do jego Głowy. — Potem ruszył pochód do kościoła, gdzie w przed-

wstępnych ceremoniach sam Arcypasterz chciał pełnić funkcye *Officiantis*. Następnie Jubilat począł się ubierać do mszy św. w złocisty ornat, z daru prowincyi galicyjskiej S. S. Miłosierdzia, wykonany u św. Maryi Magdaleny we Lwowie. Księża konfratrzy uważali sobie za miły obowiązek sprawować w czasie mszy jubileuszowej wszystkie funkcye wyższej i niższej asysty. Kazanie pełne wzniosłych myśli, wypowiedziane przez Przew. ks. Wizytatora, zamieścimy w następnym zeszycie. — Po mszy św. błogosławieństwo księży i licznego zastępu Sióstr oraz Dzieci Maryi i innych wiernych, którzy pospieszyli na uroczystość. — W czasie obiadu, w którym prócz konfratrów wzięło udział obok ks. Metropolity i ks. Biskupa Bandurskiego kilku przedstawicieli duchowieństwa lwowskiego i jeden reprezentant Towarzystwa św. Wincentego, wypowiedział ks. Arcybiskup wspaniały toast, nawiązując do słów Psalmisty: *Jubilate Deo omnis terra, servite Domino in laetitia* (Ps. 99), które stanowiły najpiękniejszą partyę bardzo udatnie wykonanych przez zakład św. Kazimierza śpiewów w czasie nabożeństwa. Zaznaczył dostojny Mowca, jako życie Jubilata było wcieleniem hasła twardej pracy, a jednak z weselem pełnionej, *servite Domino in laetitia,* i że dla tego słuszny powód do radości wspólnej, *iubilate Deo omnis terra.* Dodał pod adresem całego Zgromadzenia, jak mile wspomina sobie na to i za zaszczyt poczytuje, że się wychował pod kierownictwem księży Misyonarzy, a patrząc na przykłady dawnych swych przełożonych i dzisiejszych ich współbraci, zawsze podziwiał to wesele wśród mozolnych nieraz obowiązków.



Ś. p. Siostra Emilia Siwicka.

W uroczystość Zjawienia się N. M. P. w Lourdes roku bieżącego zeszła z tego świata w Domu Centralnym na Kleparzu S. Emilia Siwicka, zwana w Zgromadzeniu Siostrą Anielą.

W zapiskach jej z czasu seminaryum, podczas pierwszych rekolekcyj, które odprawiła w r. 1866, znajduje się postanowienie, które miało być jakby hasłem całego jej życia: „O Panie, chcę kochać wszystkich bliźnich moich, a zapomnieć o sobie, nienawidzić siebie samej jako największego nieprzyjaciela". A kilka lat potem odnawia to postanowienie temi słowy: „Czas do mnie już nie należy, lecz do Boga i bliźnich. Jezus chce, żebym pracowała, a przygotowuje mi odpoczynek w niebie..."

We wszystkich uwagach podanych przez Siostry znające S. Siwicką w późniejszej jej działalności w Zgromadzeniu tosamo się powtarza, a mianowicie, że przejęta duchem pokuty i umartwienia, pracowała bez wytchnienia nad zbawieniem dusz jej powierzonych, nie oszczędzając się nigdy, nie myśląc o sobie wcale.

Tem trudniej jej to przyjść musiało, że póki była w domu, ubóstwiał ją jej własny ojciec i dogadzał jej we wszystkiem. Ileż ona potem za te wszystkie próżności, nieumartwienia i niegodziwości, jak je nazywała, pokutowała w późniejszych czasach, zadawalniając się filiżanką gorącej wody na śniadanie i tłómacząc, że to jej właśnie najlepiej służy i pomaga do zdrowia.

Była charakteru bardzo absolutnego i z natury przywiązana do własnego zdania, to też wiele pracy kosztowało ją zastosowanie się do woli drugich, a żywość usposobienia dawała jej też często powód do upokarzania się za zbyt ostre słowo lub odezwanie się, które mogło zasmucić towarzyszki. Jednakże spostrzegłszy się natychmiast przepraszała z wielką pokorą, jak to jej dawne towarzyszki wspominają, jak również gdy będąc Siostrą służebną dała której żywsze upomnienie, prosiła o wybaczenie, najdalej przed udaniem się na spoczynek, a czyniła to na klęczkach. Prosiła też jedną o ostrzeżenie jej o jej błędach, choć ta biedaczka jedynie z posłuszeństwa to czyniła, bo właściwie trudno było w niej się czegoś ujemnego dopatrzeć. A zawsze serdecznie i z pokorą dziękowała za tę usługę.

Od początku życia w Zgromadzeniu S. Aniela, bo tak zwykle ją nazywano, walczyła odważnie ze swemi wadami, a równocześnie wszelkiemi siłami starała się przejąć duchem św. Wincentego; często powtarzała, że wszystko, co św. Wincenty postanowił, jest tak mądre i święte, że tylko to wypełniać, a wprost zajdziemy do Boga. To też w poświęceniu dla ubogich nie znała granic. Zawsze przemawiała do nich uprzejmie, nie licząc się z czasem, byle tylko z każdej rozmowy skorzystać, aby pociągnąć ich do Boga i cnoty. W czasie pobytu jej w domu św. Kazimierza w Paryżu, gdzie została Siostrą służebną w roku 1893, żaden ze starców tam pozostających nie umarł bez pojednania się z Bogiem. Udało jej się nawrócić masonów, schizmatyków i wielu innych zaślepionych, od przeszło trzydziestu lat nie spowiadających się wcale. Raz, gdy zastępowała Siostrę z oddziału, a nie mogąc znaleźć kaftanika na zmianę dla chorego, zdjęła swój i nim go przyodziała, co tak przekonało go o świętości naszej religii, że natychmiast przeszedł ze schizmy na łono Kościoła katolickiego. Pamiętała o imieninach starców i w towarzystwie Siostry, która się nimi zajmowała, niosąc flaszkę wina, ciastka i tabaczkę, składała im życzenia, a tym sposobem torowała sobie drogę do ich serc, by je pomału do Boga skierować... Często też dawała zalecenie Siostrom z kuchni, aby starcom najlepsze porcye mięsa dawały i broń Boże, abyśmy, ich słudzy, nic lepszego nie miały. Zdarzało się też często, że wracając do domu, po kilkugodzinnem zajmowaniu się sprawami ubogich, z pozostałej dla siebie porcyi najlepszą część oddawała czekającemu na nią ubogiemu. Błogosławieństwo Boże tak jej towarzyszyło, że pomimo hojnych jałmużn, jakie czyniła, miała zawsze więcej dochodu jak rozchodu.

Pierwszą też była, gdy chodziło o czuwanie przy chorych, tak przy dzieciach, jak i w Zakładzie św. Kazimierza, a potem w szpitalu. Zawsze to była jej kolej, a gdy była jeszcze towarzyszką, przy dzieciach domowych na Kleparzu, tylko posłuszeństwo wstrzymywało ją, że tego nie czyniła co

dzień, gdy było potrzeba, bo tłomaczyła się zawsze, że to jej obowiązek.

Gdy była Siostrą służebną, trudniej było ją od tego odwieść, a wtedy towarzyszki ofiarowały pacierz wieczorny na intencyę, aby ich Siostra Przełożona nie męczyła się czuwaniem, i kilka razy zdarzyło się, jak piszą, że ich P. Bóg wysłuchał, bo umierający skonał przed godz. 9 wieczorem. To też gdy niektórzy z chorych dowiedzieli się o jej śmierci, powiedzieli: „Ach! co to za dobra Siostra była“.

Będąc na Wschodzie i wtedy już cierpiąca na nogi, na które z trudnością z powodu bólu kładła obuwie, przebiegała wsi pieszo lub konno pomimo 60 lat wieku, nie zważając ani na upał, ani na ostrość klimatu, aby tylko nieść pomoc ubogim.

Również gorliwą była w prowadzeniu Stowarzyszenia Dzieci Maryi, gdyż S. Aniela, jako prawdziwa córka św. Wincentego, miała bardzo wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny, starała się wpoić je w dzieci, któremi się zajmowała, i o ile tylko jej obowiązki na to pozwalały, co niedzielę i święta odbywała zebrania, aby tylko w Stowarzyszeniu kwitły cnoty im odpowiednie, a szczególniej zamiłowanie w pracy i gruntowna a dobrze zrozumiana pobożność. Gdy umieszczona w sekretaryacie w Domu Centralnym na Kleparzu, nie mogła wprost już oddawać się temu dziełu, w pięknym wierszu, streszczającym objawienie się N. Panny Siostrze Katarzynie i Bernardecie, cześć oddała Jej najpiękniejszemu przywilejowi w roku jubileuszowym 1904.

We wspomnieniach przysłanych o niej z Kukusz czytamy, że jej to zawdzięczają powstanie Stowarzyszenia Dzieci Maryi jakoteż zaprowadzenie błogosławieństwa N. Sakramentem w maju i październiku. Wiele też czyniła starań, gdy znowu powołaną została do kraju, aby zbierać składki na budujący się kościół w Tauris, pod wezwaniem „Virgo potens“. Będąc już ciężko chorą wspomniała raz z radością, jak to będzie pięknie, że tam królować będzie nasza Najświętsza Panna. Ona wiedziała dobrze i rozumiała, że przez

Matkę idzie się do Syna. Gorliwości jej również przypisują Siostry z Kukusz zaprowadzenie procesyi Bożego Ciała jakoteż błogosławieństwa w piątki miesiąca czerwca.

Nieraz wiele miała trudności do pokonania, lecz jak piszą w uwagach podanych, pierwszy krok w tym względzie był uczyniony, więc łatwiej było potem w czyn wprowadzić.

W domowem pożyciu S. Aniela, jak wspominają Siostry, jej dawne towarzyszki, jak i te, których była S. Służebną, odznaczała się bardzo wielką miłością. Dla siebie była okrutną, piszą o niej, dla nas wyrozumiałą, a choć często chciałaby była widzieć nas również umartwionemi, jednakże gdy która była słabą, wtenczas Siostra Aniela z macierzyńską dobrocią starała się ulgę jej przynieść. Kochałyśmy ją też jak matkę, pisze jedna z nich, bośmy czuły, że i ona prawdziwie nas kocha, chociaż była z drugiej strony bardzo wymagającą i żądała, by każda Siostra jak najsumienniej swój urząd wypełniała; szczególniejszy także nacisk kładła, aby Siostry dozorujące dzieci były w tym względzie bardzo akuratne, zalecała też wielką jedność i wspólność działania w tym urzędzie, mówiąc, że „jedność stanowi siłę". Rekreacyę spędzało się zawsze wesoło i serdecznie, każda też spieszyła na nią ochotnie. Miłość jej jednak wyżej jeszcze sięgała, a okazywało się to zwłaszcza w znoszeniu wad naszych; nie szczędziła dobrych rad i upomnień, ale nikomu niepotrzebnie nie mówiła o nich. Dzieliła radości i smutki nasze. Gdy otrzymałam, pisze jedna Siostra, wiadomość o śmierci mego ojca, oznajmując mi to, dała mi równocześnie pieniądze na zamówienie Mszy św. za jego duszę, której też kazała mi pójść wysłuchać, i kilka lat w rocznicę to powtarzała. Gdy znów dostałyśmy jaką wesołą wiadomość od rodziny, wtedy dawała nam cukierków, aby brać udział w ich radości.

Będąc już cierpiącą od dłuższego czasu i nie mogąc już zadośćuczynić obowiązkom swoim, Siostra Aniela zamieniła krzyż przełożeństwa na krzyż dotkliwej choroby. Znosiła cierpienia, które musiały być okropne, z prawdziwie anielską cierpliwością. To „przerażające umartwienie", o któ-

rem piszą Siostry z Kukusz we wspomnieniach o niej, stało się teraz jej żywiołem. Gdy ją pytano, czy bardzo cierpi, mówiła: „Naturalnie, że cierpię, ale cierpieć to jest rzeczą bardzo dobrą, i niech Bóg broni, żeby nie było cierpienia". Gdy ją w ostatnich czasach przychodziła odwiedzać częściej jedna z jej towarzyszek, choć jej to było przyjemnie, zwróciła jej jednakże uwagę, aby tego nie czyniła ze szkodą w służbie ubogich.

Nie myśląc o bólu, o którym tylko sądzić mogły osoby pielęgnujące ją, nie mówiąc o tem, co jej dolegało, czy w łóżku, czy na fotelu siedząc wyprostowana, zajmowała się do ostatka pożyteczną pracą, naprawiając bieliznę Zgromadzenia lub zajmując się tłomaczeniami. Przyniesiono jej raz do czytania wspomnienia Sióstr zmarłych, między któremi znajdowało się też i życie budujące jej dawnej Siostry służebnej z Bourbon, gdzie mieszkała przed przybyciem do kraju. Uważając jednak, że byłoby to z uszczerbkiem czasu, który należał się Zgromadzeniu, czytała to tylko w niedzielę, kiedy nie mogła pracą ręczną się zajmować.

Piękny to zaiste przykład w wypełnianiu z całą ścisłością naszych świętych zobowiązań, które ta dobra Siostra tak gruntownie rozumiejąc, z taką energią wykonywała!

Do ostatniej chwili pracowała też jeszcze nad zbawieniem dusz, prowadziła korespondencyę i trudniła się przesyłkami pieniężnemi dla misyi w Bułgaryi. Nędzę jej poznała zblizka, w czasie swego pobytu tamże, to też wspierała ją potem ile możności, chcąc choć drobnemi jałmużnami przyczynić się do utrzymania na dobrej drodze nawróconych ze schizmy, a drugim znów ułatwić poznanie prawdziwej wiary.

Ta dobra i wierna sługa Jezusa i Maryi poszła po nagrodę w dniu 11 lutego, w którym to dniu Kościół obchodzi święto Objawienia się Najśw. Panny w Lourdes; możemy żywić nadzieję, że ta Niepokalana Matka nasza dopełniła prędko względem niej obietnicy swojej, że „którzy Mnie dają poznać, będą mieli żywot wieczny" (Eccles. XXIV. 31).

Ś. p. Siostra Konstancya Kościńska.

Słowa św. Wincentego, że „kto za życia kocha ubogich, widzi bez trwogi zbliżającą się chwilę zgonu swego“, znajdują zastosowanie i sprawdziły się zupełnie w życiu ś. p. S. Konstancyi Kościńskiej. W życiu tem zdaje się jakby nic szczególniejszego nie było do zanotowania, nic po ludzku mówiąc, nadzwyczajnego, zmarła miała bowiem i wady swoje tak jak i jej towarzyszki, ale dała nam przytem przez 17 lat pobytu swojego w Zgromadzeniu i pozostając od wzięcia sukni w jednym domu, w Kulparkowie, piękny przykład wytrwałości w wypełnianiu, zawsze z jednostajną gorliwością, obowiązków swoich. Nie każde usposobienie przyzwyczaić się może do usługi chorym umysłowo, a Siostry użyte na tych oddziałach muszą mieć wiele poświęcenia i cierpliwości, jeżeli chcą zadaniu swemu należycie odpowiedzieć. Miała te przymioty S. Kościńska, jak świadczą jej Siostry służebne, a łagodność jej w obchodzeniu się z chorymi wzruszała ich niezmiernie; miłość jej dla tych najnieszczęśliwszych z pomiędzy nieszczęśliwych była miłością matki; nieraz wyglądała bardzo cierpiąca, a jednak nie opuściła swojego zajęcia tak, jak gdyby widok jej ukochanego Oblubieńca, tak bardzo nieszczęśliwego w osobie tych chorych, ulgę jej przynosił; dla Niego spieszyła im z pomocą, zapominając o swoim własnym bólu. Gorliwość nie pozwoliła jej chwili spoczynku. Zawsze znachodziłam ją przy pracy, pisze jej dawna Siostra służebna w uwagach swoich; gdy przychodziłam na oddział, S. Konstancya z uprzejmą prostotą prowadziła mnie od jednej do drugiej chorej, przedstawiając ich potrzeby i cierpienia z prawdziwem współczuciem nad ich nędzą. Nic też dziwnego, że ci nieszczęśliwi kochali ją tak bardzo i gdy pod jej opieką, pełną macierzyńskiej dobroci, przychodzili do jakiej takiej przytomności, oddział jej bowiem, przeznaczony był dla najwięcej szalejących i świeżo do Zakładu przyjętych, to często potem umyślnie tak się zachowywali, i błagali, aby ich dano napowrót do S. Konstancyi. — A inna tak pisze: „Zawsze

zajęta jakąś pracą ręczną na rekreacyi, pracowita, jak mrówka, dla ukochanych swoich chorych troskliwa i z poświęceniem bez granic, przemyśliwała tylko nad tem jakby im przyjemność zrobić".

Gdy mówiono wokoło niej, że tak źle wygląda i że pewno musi być chorą, odpowiadała z uśmiechem: „Ktoby tam uważał na takie drobnostki, nieraz gorzej mi było i przeszło, to i teraz przejdzie".

Z wdzięcznością jednak przyjmowała małe środki obmyślane dla jej ulgi, serdecznie dziękowała za nie, a ta jej pokora, pisze jej poprzednia Siostra służebna, rozrzewniała mnie, tem więcej, że byłam mocno przekonaną o jej prostocie i że tam nie było cienia przesady. Zapominając zupełnie o sobie, nie myśląc o chorobie, która od dłuższego czasu wyczerpywała jej siły, nie pozwoliła się wyręczyć, gdy wypadała na nią kolej czuwania, co najwyżej zamieniła się z inną towarzyszką.

Widząc ją tak wyniszczoną, dziwić się można było, skąd mogła mieć siły do pracy tak uciążliwej. Czerpała ją niezawodnie w wierności w odprawianiu ćwiczeń, gdyż, jak wspominają uwagi, umiała pogodzić życie Maryi z życiem Marty. Pracując z zamiłowaniem, opuszczała natychmiast swoje zajęcia, gdy wola Boża wołała ją na ćwiczenia Zgromadzenia, i począwszy od 4 godz. rano aż do wieczora, była jedną z najpierwszych w miejscu, gdzie ją wzywał głos Boży.

Jak przy pracy tak i na modlitwie była zawsze czujną i gorliwą, pomimo osłabienia i zmęczenia.

Gdy Pan Jezus zażądał ofiary z życia, poddała się temu ze spokojem i prostotą. Zdziwioną tylko była, że się nią tak zajmują, i z wielką wdzięcznością przyjmowała dowody troskliwości i opieki ze strony lekarzy, którzy podziwiali jej cierpliwość, jakoteż i pielęgnujących ją w chorobie towarzyszek. Dziękowała za każdą posługę, za każde odwiedzenie jej, z wielką serdecznością.

Jak w ciągu jej życia czynnego tak zwłaszcza w chwili śmierci uderzał w niej nadzwyczajny spokój duszy.

Przyjąwszy pobożnie ostatnie Sakramenta św., wyraziła kilkakrotnie swoje szczęście, że umiera w Zgromadzeniu. To też Pan Jezus zapewne mile spoglądał na tę duszę oddaną Mu tak zupełnie, a oczyściwszy ją cierpieniem, powołał do nagrody wiecznej tę prawdziwą sługę ubogich chorych.

Zmarła dnia 17 lipca w szpitalu św. Łazarza w Krakowie.

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Karol Varela, 27 czerwca w Buenos Aires (Argentyna); żył lat 50, w Zgromadzeniu 29.
2. Ks. Filip Valentini, 2 lipca w Syennie (Włochy); żył lat 68, w Zgromadzeniu 50.
3. Br. Wincenty Sardella, 30 czerwca w Neapolu; żył l. 87, w Zgrom. 69.
4. Ks. Paweł Capocci, 7 lipca w Rzymie; żył lat 70, w Zgrom. 33.
5. Br. Franciszek Vezza, 8 lipca w Neapolu; żył lat 80, w Zgrom. 59.
6. Ks. Maryan Restante, 9 lipca w Rzymie; żył lat 71, w Zgrom. 53.
7. Br. Franciszek Fegus, 7 lipca w Gracu; żył lat 52, w Zgrom. 24.
8. Ks. Józef Bernard de Stolberg, 26 lipca w Chinach; żył lat 32, w Zgromadzeniu 11.
9. Ks. Antoni Azemar, 29 lipca w Rio-de-Janeiro; żył lat 67, w Zgromadzeniu 43.
10. Ks. Tadeusz Nuien, w sierpniu w Jen-czeu-fu (Chiny); żył lat 45, w Zgromadzeniu 22.
11. Ks. Juliusz Macadré, 30 lipca w Konstantynopolu; żył lat 72, w Zgromadzeniu 47.
12. Ks. Fryderyk Klinkenberg, 8 sierpnia w Kolonii; żył lat 39, w Zgromadzeniu 20.
13. Ks. Herman Porkerth, 14 sierpnia w Gracu; żył lat 82, w Zgrom. 45.
14. Br. Piotr Lavergne, 17 sierpnia w Freyennes (Belgia); żył lat 58, w Zgromadzeniu 26.
15. Ks. Chalcedoniusz Mancini, 18 sierpnia w Rzymie; żył lat 67, w Zgromadzeniu 39.
16. Ks. Józef Dillange, 19 sierpnia w Akbes (Syrya); żył lat 45, w Zgromadzeniu 26.
17. Ks. Józef Brodtrager, 22 sierpnia w Gracu; żył lat 28, w Zgromadzeniu 10.
18. Ks. Adam Wiencek, 28 sierpnia w Nowej wsi Narodowej (Kraków); żył lat 65, w Zgromadzeniu 45.
19. Br. Ludwik Filiberti, 18 sierpnia w Piacenzy; żył lat 71, w Zgromadzeniu 35.

R. I. P.

Kraków – Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.